№ 6. Warszawa, dnia 10 Lutego (29 Stycznia) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

LIST JEŻA.

(Odpowiedź na *Ognisko*).

Żadnemu z kolegów, co do *Ogniska* ręki przyłożyli, żadnemu z prenumeratorów, co grosz dali, dłoni uścisnąć nie mogę; zwracam się więc do Was. Szanowny Panie, jako do autora „Podarku jubileuszowego" (*Prawda* nr. 3): bądźcie wobec wszystkich razem i każdego z osobna tłómaczem wdzięczności mojej, wdzięczności połączonej z uradowaniem i zadowoleniem. Tak — z *zadowoleniem*. Wyraz ten powtarzam i podkreślam, dla zaakcentowania w sposób ten odpowiedzi mojej na słowa Wasze, głoszące, jakoby to, co mi dajecie, było „za mało."

Nie! — nie za mało to. Czuję się tak ...wynagrodzony, jak bardziej chyba człowiek żądać nie może.

W *Ognisku* zaświadczył się zaczyn pracy postępowej w społeczeństwie, dla którego miłość wyniosłem z pod strzechy rodzicielskiej.

Pozwólcie mi wytłomaczyć uczucie, które mi serce przepełnia na widok objawiającego się, niespodzianego dla mnie około nazwiska mego ruchu.

Ruch ów wyraził się nie tylko za pomocą prenumeraty na ofiarowaną mi w upominku przez kolegów książkę, w której każdy z tych, co w niej udział wzięli, złożył myśli własnych przędzę; wyraził się on oraz za pomocą przesyłanych wprost do mnie podpisów, niosących mi od spółziomków, tak z ziemi rodzinnej jak z po za granic takowej, pozdrowienia i uznanie.

Podpisy te liczą się już na tysiące. Niosą mi one uznanie, nie tyle talentu mego autorskiego, co kierunku, w jakim prowadziłem pracę moją.

Podpisy te po największej części pochodzą od młodzieży.

Jest że to bez znaczenia? Nie świadczyż to, że ten sam ideał, co mi w życiu przyświecał, ta sama gwiazda, co pracy mojej przewodniczyła, jest ideałem, gwiazdą przewodnią pokolenia młodego? Nie dowodziż to, żo sztandar, o którym w „Podarku jubileuszowym" wspominacie, utrzymał się pomimo przeciwności i powiewa nad hufcami, kroczącemi ku zdobywaniu przyszłości dla społeczeństwa, którem ukochał?

Postawcież się na miejscu mojem. Wyobraźcie sobie człowieka, co całą duszy potęgą przywiązał się do istoty pewnej — do matki, dajmy na to, do żony, do dziecka własnego — przywiązał się tak daleco, że za istotę rzeczoną, dla dobra jej, oddać gotów wszystko, życia nie wykluczając; że myślenie o niej stało się dla niego troską jedyną, wyłączną i najważniejszą, przedmiotem głównym jego trudów i zabiegów, jego nadziei i obaw. Ludzie tacy zdarzają się na świecie; każdy z resztą człowiek do czegoś jest przywiązany — w czemś rozkochany: z natury to pochodzi. Wyobraźcież sobie dalej, że człowiek ów, lat późnych dożywszy, w pracy się styrał i celu trudów a zabiegów swoich, tyczących się ubezpieczenia bytu istoty ukochanej, nie osiągnął. Smutno mu bywać musi niekiedy. Aż oto, przychodzi doń jeden i powiada: „Nie trap się; przedmiot ukochania twego ukochałem, myślę o nim jak ty myślisz i będę dłań po twojemu pracował." Przychodzi i powiada toż samo drugi, trzeci, dziesiąty, setny, tysiączny, a każdy z nich młody jest zdrów i silny. Cóż — czy sędziwy ów a znużony pracownik nie ma słusznej racyi cieszyć się, radować, szczęśliwym się czuć?

W sposób przypowieściowy wytłomaczyłem uczucie, jakiego obecnie doznaję. Dla jaśniejszego atoli rzeczy przedstawienia, dodam jeszcze porównanie stanu w momencie dzisiejszym z tym stanem, jaki panował za czasów młodości mojej.

Kiedym przed laty po raz pierwszy w poczuciu obowiązku i służby publicznej pióro do ręki brał, suma ogólna wiedzy w sferze młodzieży była o wiele szczuplejszą, aniżeli dziś. W przeciągu ćwierć wieku poziom wiedzy w społeczeństwie naszem podniósł się znacznie. Więcej wiedzy — więcej siły — więcej na przyszłość rękojmii. Ztąd też każdy na nadsyłanych mi pozdrowieniach wyczytywany młodego pracownika podpis staje się dla mnie powodem nowego a w potędze wzrastającego uradowania. I suma wiedzy pomnożona—i horyzont rozszerzony. To, czegom pragnął — staje się; to, co było przedmiotem nawoływań moich, które w momentach zwątpienia miewałem za rozlegający się w puszczy głos — wnika w krew, odziewa się w życie, wyraża w czynie. Nauka się rozwija i pogłębia. Zdaje się, jakby społeczność nasza nawiązać na nowo usiłowała ten węzeł, który nieprzyjazne nam dłonie w wieku XVII-tym stargały, jakby młodzież dzisiejsza podawała rękę tej młodzieży, co w epoce Grzegorzów z Sanoka, Kochanowskich, Modrzewskich, Klonowiczów, Koperników po świecie chodząc, poszukiwała światła wszędzie, gdzie takowe do znalezienia było. To dobrze — o! to dobrze.

Powiedzieć nie można, ażebyśmy i my, w epoce młodości naszej, potrzeby i pożytku nauki nie rozumieli. Rozumieliśmy; ale — nie tak ogólnie, nie w takim stopniu; puszczaliśmy przodem uczucie; dawaliśmy się mu odurzać; wybuchaliśmy zapałem, którego bezwzględna a absolutna przewaga gorzkie nam zrywać kazała owoce. Posłużyliśmy jednak jako przykład, jako stwierdzony doświadczeniem dowód, że uczucie i rozum równoważyć się i wspierać wzajemnie powinny, w działalności wszelakiej, zwłaszcza zaś w pracy dla ogółu, w tej pracy, co, mając znaczenie i donioslość dźwigni w dziejowym społeczeństw rozwoju, wymaga ruchu naprzód, wciąż naprzód, nie inaczej — pod karą zatraty — tylko naprzód.

O, toć ja ruch ten spostrzegam. Widnieje on w powodzeniu, jakiego doznało *Ognisko*; nim nabrzmiałe są wszystkie, jakie odbieram, pozdrowienia.

Jakżebym nie miał się radować!

Jak nie czuć się zadowolonym, uszczęśliwionym i wynagrodzonym!

T. T. Jeż.

Genewa, d. 2 lutego 1883.

Bałamuctwa.

Przed dwoma laty, rozwijając bliżej program *Prawdy*, usiłowaliśmy wskazać, jaki plan życia społeczeństwo polskie „pod dzisiejszą datą" nakreślić sobie winno, do czego wprzód dążyć, na czem oprzeć naj-

bliższy ratunek. Powiedzieliśmy wówczas— i to ani na chwilę nie przestało być naszem głębokiem przekonaniem — że najskuteczniejszych zmian w doli naszej i zwycięstwa w walce o byt oczekiwać dziś możemy nie od nagłych przewrotów politycznych, nie od łask kapryśnego losu, nie od zmiennych uśmiechów fortuny, nie od gry hazardownej, lecz od pracy cywilizacyjnej w własnym kraju i własnemi siłami. I czemuż po latach dwu wracamy do tej samej sprawy? Oto dla tego, że pewne zagraniczne dzienniki polskie, które swobodę publicznego słowa zużytkowywują przedewszystkiem na krzywdzące oskarżenia kilku pism warszawskich, znowu z niej wiją bicze dla innych a złotolite pasy dla siebie. W tej patryotycznej kanonadzie spadają głowy „skosmopolityzowanych postępowców;“ piętnują się nazwiska brutalstwem rozpalonem do czerwoności, każde krzywdzące słowo jest dobrem, każda ostra broń szlachetną. Zastanówmyż się tedy, co owi rycerze wywalczają dla swego społeczeństwa.

Wiadomo wszystkim, że polityka jest sztuką czysto praktyczną, że jej rady, reguły, zasady, programy posiadają tylko wartość użyteczności w chwili, do której są zastosowane. Ani katolicy niemieccy, ani oportuniści francuscy, ani whigowie angielscy, ani irlandczycy, lub alzaci, słowem żadne stronnictwo i żaden naród nie może wytykać sobie bezwzględnej, przez całą jego przyszłość biegnącej drogi postępowania, lecz musi torować taką, jaka w danych okolicznościach jest najodpowiedniejszą. Nasi zakordonowi politycy gorącego odlewu nie chcą o tem ani słyszeć. Podpisują tylko te programy, które nie uwzględniają faktów spełnionych. Nie konieczność im stawia warunki, lecz oni konieczności. Komuś burza zniszczyła plony, wierzyciele zlicytowali go i zabrali mu dobytek—co wart przyjaciel, który biedakowi prawi o dawnej świetności i każe wyczekiwać szczęśliwego przypadku, morowej zarazy dla innych lub cudu dla niego? Czy nie uczciwiej postępuje ten, który wskazuje sposób odzyskania utraconego bytu przez pracę? Cuda nie są już z tego świata, na loteryi wygrywa nie każdy, a pięść, jako sposób dochodzenia swych praw. wtedy tylko działa skutecznie, gdy nie spotyka innej pięści silniejszej. Jest to niezawodnem zarówno w losach jednostki, jak i społeczeństwa. Szowiniści polityczni z naiwnością dzieci dyktują prawa Europie, których ona wcale nie słucha, i wskazują społeczeństwu najbliższy cel, którego ono w obecnych warunkach osiągnąć nie może. Korzystając z przewagi, jaką ma zawsze schlebianie uczuciom nad apelacyą do rozumu, piętnują oni wyzutym z wszelkich skrupułów sumieniem każdy głos niedostrojony do ich junackiego tonu i w radach za złą dolą ukazują zamiłowanie w złej doli. Kto zniszczonego przez grad i pożary uczy, jak ma ocalić resztę swego mienia i dźwignąć się z nieszczęścia, ten— według nich — jest czcicielem gradu i pożarów. Dla przekonania się o bezmyślności tych krzykliwych haseł, o pustce na wielkie zwycięstwa zamierzonych programów, dość spytać ich autorów: co oni mają za sobą, jakiemi rozporządzają siłami, na czem opierają swoje nadzieje? Jeśli p. Rzepecki z Poznania chce wszystko od r. 1773 unieważnić i rozpocząć pracę dla kraju od tej daty, co dla spełnienia tego chwalebnego zamiaru posiada więcej nad hałaśliwe pióro? Ucałujemy dłonie, które nam dadzą największą i najsamodzielniejszą potęgę, ale które nam dadzą; do tejże samej czci niech nie pretendują ci, którzy umieją tylko rękami machać i wmawiają w nas, że za tym ich ruchem świat biegnie. Lekarz, który przychodzi do sparaliżowanego, stara się usunąć mu niemoc, na ile przynajmniej zdoła, a nie krzyczy: wstań i zmierz się z siłaczem! Sto lat jesteśmy sparaliżowani i przez sto lat słyszymy takie krzyki. Zagłuszyły one cały szereg przestróg rozsądnych, naraziły nas na nieszczęśliwe pokuszenia i ciągle jeszcze bałamucą nam życie. Bałamuctwa to nic więcej. Nie jest to bowiem tak niewinne mielenie pustych słów, jakby się na pozór zdawało. Słyszeliśmy niejednokrotnie uwagi: po co ta publiczna abdykacya, po co wypłaszanie z życzeń ogółu ideałów, które już sama rzeczywistość zabija?

Nie jest to ani abdykacya, ani zamach na ideały, lecz zwracanie uwagi społeczeństwa na cele istotnie najbliższe. Nikt tonącemu nie pokazuje pięknego krajobrazu, lecz najpłytszą wodę i najmniej oddalony brzeg. Jeżeli zdurzymy ogół wiarą w polityczne cuda, to odciągniemy jego baczność od pracy, od samopomocy, od tego wszystkiego, co mu jedynie do ratowania się pozostało. Idąc ze wzrokiem, utkwionym w fantastyczne kształty obłoków, nie dostrzeżemy ani przepaści, które się otwierają pod naszemi stopami, ani korzyści, po którą schylić się należy. Ciężkie, ale owocne trudy nasze przerywa ciągle protest zuchów, którzy umieją „krzyknąć nie pozwalam i uciec na Pragę.“ Przemawiają oni do społeczeństwa takim tonem, jak gdyby siedzieli na krzesłach Bismarków i Kalnokych, jak gdyby swoją wolę mogli najeżyć milionem bagnetów, jak gdyby nie byli synami narodu, który ledwie żyje. Kiedy w Poznańskiem niemcy wykupują ziemię, p. Rzepecki walczy za kraj... przypominaniem traktatów. Tymczasem co wszystkie traktaty pomogą, jeśli ziemia przemysł i handel przejdą w obce ręce, jeśli literatura będzie przeżuwała stary pokarm, jeśli twórcze siły osłabną, jeśli wystygnie ogień wewnętrzny, jeśli omdleje energia, jeśli pójdziemy w ekonomiczne i umysłowe poddaństwo do innych narodów? Tak głupkowato wyszydzana „trze-

---

Zastawiony charakter

ARABESKA

Świętopełka Czecha.

Nasi powieściopisarze dopuszczają się jednego grzechu: okropnie marnotrawią pieniądze.

Spróbujcie śledzić którego bohatera w dziesięcioarkuszowej jego podróży: co ujrzycie? Nie trudni się on zwykle niczem, żadnej zyskownej nie zajmuje posady, a przecie w najlepszych mieszka hotelach, jada najwymyślniejsze przysmaki, pali wonne hawanna tylko, dla żebraka ma zawsze dukata w ręce, napiwków także nie daje nigdy mniejszych, do jazdy zawsze w noc bezksiężycową ma na zawołanie osiodłanego araba, jeździ do kąpieli morskich, podróżuje po uroczej Italii, a gdy w ten sposób dziewięć arkuszy próżniaczego swego żywota przetrawił, zawsze jeszcze znajduje na dziesiątym dostateczną sumę, aby w zwątpieniu po zdradzie kochanki rzucić się w wir rozkoszy, w strugach szampana zatopić smutne wspomnienia i hulać i szaleć i w orgiach się nurzać...

Słowem — jak to już wyżej powiedziałem—powieściarze nasi nie znają wartości pieniędzy. Skromniejszymi dochodami poprostu gardzą. Jeśli znajdziesz u nich sumy oznaczone, są to zawsze miliony, dwudziesto albo trzydziesto tysiączne dochody roczne. Mniejszych liczb ani tykają. Czyż wyczytał kto z was kiedy, żeby np. Antoni miał czterdzieści pięć guldenów miesięcznej pensyi?

Bezpośrednio z tego wypływa inna wada. Oto opowiadacze nasi zmyślonych dziejów nie zwracają uwagi na jedną z najważniejszych podstaw ludzkiego istnienia. Rozpisują się szeroko o postawie, włosach, nosie, odzieży, charakterze — tylko od jednej a najważniejszej rzeczy się wykręcają. Pozwalają ci zajrzeć do tajników garderoby swego bohatera, do skrytej pracowni jego myśli, do najciemniejszych głębin duszy jego, krótko rzekłszy—do wszystkiego, tylko nie do jego — sakiewki. A wszakże tę powinniby najprzód otworzyć. Wtedy poznałby czytelnik z pierwszego wejrzenia, z kim ma honor albo przyjemność... Osobistość wystąpiłaby odrazu we właściwem świetle.

Stawiam pierwszy nieśmiały krok w tym kierunku. Oto pugilares mego bohatera, pana Alfreda N. Jeśli zechcecie weń zajrzeć, dostrzeżecie kilka przedziałek, a w nich nic; tu jedna osobna przegródka — w niej także nic; obróćmy pugilares grzbietem do góry, wytrząśnijmy... co wypadło?... Nic...

Z dalszym opisem bohatera możemy się już teraz krótko załatwić. Wypływa on po części z samego wstępu. Smukły, zgrabny korpus... blade, rozmarzone oblicze... na ustach gorzki uśmiech i zdobywczo... myśli w głowie. Na nogach pantofle o zbladłych kolorach, wyżej—zagadkowe pantalony i trzy ćwierci surduta, a w ręce na dwułokciowym cybuchu fajka, z której wydobywa się dym, do sinego obłoczku podobny. Obłoczek wznosi się w górę, zaokrągla, fantazya tka na nim ostatni piękny obraz, ten blednie, gaśnie, rozłącza się wraz z obłoczkiem... I fajka i fantazya zagasły.

I jakiż to obraz rozwiał się wraz z dymem? Obraz pięknej, ale zimnej jak głaz dziewicy...

Więc w głowie pusto, jako i w pokoju. Mrok rozpościera się po próżnych kątach: z szafy wieje chłód, łoże śni urocze o pościeli edredonem wypchanej, półka smuci się po książkach — a bieda chichocze złowrogo ze wszystkich stron: — Chi, chi! Świat cię opuścił, wzgardziła tobą kochanka, ale ja cię, mój chłopcze, nie opuszczę!

Zimna fajka wypada z ręki, gorzki uśmiech niknie na ustach, przymykają się powieki... Wszak złote sny nic nie kosztują...

W tem zastukał ktoś do drzwi. Alfred wyskoczył. Ma otworzyć? Żaden oczywiście ze znajomych, bo ci wiedzą, że u niego nie ma nic do pożyczenia. Otworzy na chybi-trafi!..

Uchylił drzwi ostrożnie, z należytym względem na zagadkowe pantalony i trzy ćwierci surduta.

żwość“ nie zabrania nikomu marzyć o najświetniejszej przyszłości, ale radzi przedewszystkiem opanować warunki teraźniejsze. Warunki te są zupełnie różne w trzech dzielnicach dawnej Polski i dla tego nastrój ich żądań nie może być jednakim. Co w jednej jest zaledwie prześwitającym brzaskiem, to w innej świeci jako pełna gwiazda. W Poznaniu lub Krakowie roić o państwowości polskiej — łatwo!

Być może, iż nasze dzieci, wnuki lub prawnuki doczekają innej doli, że życie postawi przed nimi inne, rozleglejsze zadania; wtedy to, do czego my bezpośrednio dążymy, okaże się dla nich niedostatecznem. Ale gdyby nawet taka wróżba spełnić się miała, program życia owych dalekich pokoleń nie może być programem naszym. Każdy okres musi mieć swoją własną oś, około której obracają się wszystkie jego wysiłki. Taką osią jest dla nas w Królestwie *dziś* praca cywilizacyjna, ochrona skarbów posiadanych i gromadzenie nowych, wszechstronny i gorączkowy rozwój sił społeczeństwa. Kto radzi porzucić to pole lub jednocześnie upijać się złudzeniami, ten świadomie lub nieświadomie bałamuci ogół i paraliżuje jego energię zwodniczymi podszeptami. „Spętanym chodzić nie można“ — rzekł ktoś w napaści na stanowisko nasze; odeprzemy krótko; pewniej do celu spętany dojdzie, niż szalony dofrunie.

Bezimienni Katonowie zagraniczni, nie frymarczcie mową ludzką tak, jak Kato frymarczył swoją żoną. Jeżeli mówicie o spętaniu, to nie głoście, że je ktoś sławi, ale powiedźcie uczciwie, że w niem chodzić uczy.

Na tem ogranicza się cały nasz program doby dzisiejszej. Jeżeli macie w zanadrzu radę lepszą, dajcie ją, wyjawcie, co społeczeństwo robić powinno, ażeby utrzymało się w walce o byt. Ale nie wywóźcie furami za granicę politycznej bufonady i niedorzecznych oskarżeń, bo z tego ani wasz naród korzyści nie odniesie, ani gryzieni przez was w pięty a uczciwi jego synowie wcale się nie ulękną. Jeśli o *Prawdę* idzie, dopóki obecne warunki trwać będą, pozostanie ona niewzruszenie przy tej wierze, że społeczeństwo nasze może odrodzić się, wzmocnić, zwyciężyć w walce o byt nie przez oczekiwanie gruszek na wierzbie, cudów, niespodzianek politycznych i tym podobne bałamuctwa, ale przez pracę cywilizacyjną, rozumną ochronę skarbów swojskich i wszechstronny postęp.

A. S.

W OBRONIE PRZYRODNIKÓW.

W ostatnich czasach spostrzegać się daje śród naszego społeczeństwa niekłamane, żywe zajmowanie się wiedzą przyrodniczą. W objawach tego rodzaju naiwni widzą tylko chwilowy kaprys mody, która, przeminąwszy prędko, jak każda inna, pozostawi po sobie ślady nie o wiele trwalsze od kotylionowych kokardek i opróżnionych bombonierek. Tymczasem na ruch ten należy patrzeć jako na objaw budzącej się samowiedzy społecznej, jako na wyraz instynktu zachowawczego, który u samych źródeł nauki każe nam szukać lekarstwa dla zmartwiałego ducha. Nie mamy zamiaru mówić tutaj o korzyściach, jakie wyniknąć mogą dla nas z rozbudzenia się owej samowiedzy: stanowią one jasną stronę medalu; druga, odwrotna, jest o wiele ciemniejszą.

Są społeczeństwa, którym na drodze rozwoju sfinksy dziejowe stawią niezmiernie trudne do rozwiązania zagadki. Oto jedna z nich: co trzeba czynić, aby normalny produkt życia społecznego, wobec nienormalnych jego warunków, nie stał się szkodliwym?

Ale przejdźmy odrazu do sprawy, której związek z powyższą zagadką łaskawy czytelnik sam zechce wykryć i zbadać.

Trudno temu uwierzyć, ale faktem jest niezbitym, iż dzisiaj już, po kilku zaledwie latach gorętszego zajmowania się przyrodoznawstwem, powstał śród nas *proletaryat przyrodników*. Młodzi między nimi w niewielkiej tylko części znajdują odpowiednie swoim uzdolnieniom i powołaniu zajęcia; najznaczniejsza ich liczba albo pozostaje na bruku, albo poświęca się zawodom, których związek z przyrodoznawstwem jest wysoce wątpliwy. Niektórzy np. pełnią obowiązki subjektów handlowych, lub pedlów w gimnazyach; inni po ukończeniu kursów jedynie *dla chleba* wstępują na medycynę, inni naukoniec szukają, choć nie zawsze ze skutkiem, jakiejkolwiek służby rządowej lub prywatnej. W ostatnich latach reforma w zarządzie akcyzy cukrowniczej niektórym z nich dała możność znośnej egzystencyi, ale urzędy tego rodzaju, odrywając kandydatów od sfery naukowej, same nie mogą być przez nich tak dobrze obsługiwane, jak np. przez wykwalifikowanych techników-specyalistów.

Jak zaradzić złemu?

Sądzimy, że chodzić nam w tym razie powinno przedewszystkiem o to, aby wynaleść dla naszych przyrodników taki rodzaj pracy, który, zaspakajając potrzeby materyalne, nie odrywałby ich od właściwej sfery działalności naukowej albo literakiej. W szkołach naszych wegetuje pewna gałązka wiedzy, której uprawę od niepamiętnych czasów monopolizują w swych rękach nauczyciele historyi i filologowie. Mówimy o geografii.

Pedagogika współczesna orzekła stanowczo, że zadaniem zakładów naukowych średnich winno być nietyle ilościowe, co jakościowe zbogacanie umysłu dziecka. Innemi słowy, szkole chodzi nie o to, aby młode umysły stały się magazynami wielkiej liczby luźnych i chociażby nawet pożytecznych wiadomości, lecz o to, aby się rozwinęły i dostatecznie przygotowały do przyjęcia poważniejszych wyników nauki. Do gimnazyów klasycznych i wogóle do zakładów średnich męskich orzeczenie powyższe daje się zastosować w całej rozciągłości; do pensyj żeńskich, które niestety, muszą dzisiaj być omegą edukacyi kobiet, z małem tylko zastrzeżeniem.

Mówiąc o nauce ziemioznawstwa w szczególności, spostrzeżemy, że najdzielniejszym orężem tak pojętego systemu wychowawczego jest w niej ta część, którą znamy

---

W pokoju ukazała się głowa, na której czytać mogłeś to, co usta mówiły:

— Handel, handel! Może pan ma stare ubranie, starą bieliznę do sprzedania? Aron dobrze płaci, dalibóg, dobrze.

Na ustach Alfreda zjawił się znowu dawniejszy, gorzki uśmiech.

— Nie mam nic — odpowiedział żydowi.

Ale żyda nie łatwo było odprawić. Wtłoczył się do pokoju, mówiąc znowu:

— Nu, przecie się może co znajdzie. Stare buty, stare książki... Aron wszystko kupuje, wszystko!

— Przekonaj się więc sam — rzekł Alfred cierpko. Tu jest szafa, tu półka na książki, tu...

— Dalibóg, nic a nic! — dziwił się żyd. Jak wymiecione... Szkoda panicza, szkoda! Aron dobrze płaci!...

Przy tych słowach dobył z zabrudzonego kaftana skórzany woreczek i potrząsł nim. Dał się słyszeć czysty, pełny dźwięk, zwodniczy głos kruszcu, zwodniczy więcej, niż pieśń syreny.

Słysząc dźwięk ten, zachwiał się Alfred. Wzrok jego zwrócił się pożądliwie ku brudnemu woreczkowi. Przez twarz żyda przebiegł jak błyskawica wyraz zadowolenia i pogardy. A woreczek brzęczał tymczasem dalej.

— Aron dobrze płaci, paniczu. Aron kupuje wszystko, wszystko!

— Toż widzisz przecie, że nic nie mam! — krzyknął Alfred gniewie.

— Nu, czego to się pan tak zaraz gniewa! Pan ma przecie coś, za co by Aron dał wiele, wiele pieniędzy...

— Nie żartuj, żydzie, bo jeszcze zlecisz ze schodów prosto na łono Abrahama!

— Aron wie, co mówi — rzekł, nie zrażając się żyd. Pan ma jeden bardzo kosztowny klejnot, za który Aron zapłaci, ile tylko pan sam zażąda.

Mówiąc to, włożył swoje chude palce do woreczka. Alfred śledził iskrzącym wzrokiem ten ruch i rzekł wreszcie:

— No, więc mów, co mam, o czem nie wiem. Cóż ci mogę sprzedać?

Żyd przystąpił o krok bliżej, nachylił się do jego ucha i wyszeptał:

— Charakter.

Alfred wytrzeszczył oczy!

— Charakter? Co za głupstwa gadasz?

Żyd cofnął się, wyprostował i mówił dalej:

— Pan się dziwi? Nu, Aron kupuje wszystko: przenoszoną odzież, cześć dziewiczą, stare parasole, honor, warkocze, iskrę geniuszu, zajęcze skórki... Aron kupuje cały świat — dlaczegożby nie miał kupić i charakteru? Charakter w naszych czasach rzecz rzadka. Ludzi bez charakteru pełno...

Ze zgrozą spoglądał Alfred na mówiącego. Właśnie wpadły przez okno ostatnie promienie zachodzącego słońca i nadały żydowi jakieś niezwykłe wejrzenie. Woreczek w jego ręce zabłysnął, potargane włosy i wąsy zamieniły się w złote nitki, złoto połyskiwało z fałdów jego kaftana, a wielkie oczy zabłysły kruszcowym blaskiem, świeciły, jak dwa dukaty. Zdało się Alfredowi, że widzi przed sobą demona złota, ze zgiętą szyją, z palcami zakrzywionymi chciwie, który się rzucić chce na bezsilną ofiarę, wyssać z niej krew żywotną i zadusić w niej ostatnią iskrę ducha...

Zakrył sobie twarz rękami.

Gdy znowu spojrzał, znikł urok, otaczający żyda — słońce już zaszło.

— Nu, sprzeda mi pan charakter? Aron dobrze zapłaci. Jest popyt za niego, ponieważ będą wkrótce wybory... Nu, sprzeda pan? Aron zapłaci ogromną sumę.

Przy tych słowach wyjął żyd jeden dukat z woreczka i podniósł go w górę. Alfred patrzył przez chwilę pożądliwem okiem na pieniądz, nagle jednak odwrócił głowę i wyrzekł głosem pewnym, ze stałem widocznie postanowieniem.

— Nie sprzedam!

Żyd pokręcił głową.

— Aj, aj, nie sprzeda... Dalibóg, piękny charakter! Dam dwa razy tyle! Jeszcze nie? Trzy razy tyle!... A, stały charakter! Nu, nie? Uczynię pana milonerem.. będzie pan mieszkał w pałacach, najlepsze wina pił, całował najsłodsze usta...

Alfred patrzył przez chwilę w powietrze, jak gdyby się tam unosiło jakieś piękne widziadło, przetarł znów dłońmi oczy i odparł z westchnieniem:

pod nazwą geografii fizyczno-matematycznej. Polityczną, na którą taki nacisk kładzie nasza szkoła i nasza opinia, posiada tylko doniosłość praktyczną, nie mając natomiast żadnej wartości pedagogicznej, oprócz ćwiczenia pamięci.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z geografią fizyczno-matematyczną. Zbogacając umysł olbrzymią ilością pożytecznych wiadomości, kładzie ona jednocześnie na szalę jego rozwoju tyle, iż wraz z naukami przyrodniczemi najdzielniej przyczynia się do wyzwolenia go z więzów ciemnoty i przesądów.

Jeżeli czytelnik zgodził się na powyższy wywód, to zgodzi się może jeszcze i na to, że o takich rzeczach, jak charakter gruntu danego kraju, przyczyny i skutki jego warunków klimatycznych, jego fauny i flory, bogactwa mineralne i związany z niemi rozwój pewnych gałęzi przemysłu — że o wszystkich tych rzeczach filolog może mieć takie tylko pojęcie, jakie przed kilku lub kilkunastu laty sam wyniósł ze szkoły. Jeżeli zaś zapragnie pojęcie to nowym pokarmem duchowym odżywić, uczynić to zdoła tylko ze szkodą swoich specyalnych studyów filologicznych. Tak pojętemu więc zadaniu nauczyciela geografii odpowiedzieć może dokładnie — tylko przyrodnik. Dzisiaj, kiedy od lat paru nawet w naszym, niezbyt naukowo bogatym uniwersytecie, wprowadzono wykłady geografii fizycznej na wydziale przyrodniczym, dzisiaj, zdanie to jeszcze trwalszą dla siebie znajduje podstawę.

Oddanie berła ziemioznawstwa w szkołach do rąk przyrodników szczególnie wielkie znaczenie przyniosłoby dla gimnazyów klasycznych, gdyż przez to wypełniłyby się choć w części nieuniknione luki w przyrodniczem wykształceniu młodzieży. Dotychczas jednak monopol filologów, jak wiadomo, nie ustał jeszcze. Władza szkolna zwróciła już w części uwagę na ową anomalię i z czasem prawdopodobnie całkiem ją usunie; co do nas jednak, to i w tym wypadku, jak w wielu innych, zwrócić się musimy do inicyatywy prywatnej. Od właścicieli i właścicielek zakładów naukowych oczekiwać należy początków reformy.

Jeżeli wykłady historyi mają w naszych szkołach zajmować zawsze tak pokaźne stanowisko, jak dotąd, to najlepszym specyalistą, który do zrozumienia tych wykładów umysły uczniów przygotuje, może być tylko — geograf-przyrodnik.

Tak jest, przyrodnicy nasi śmiało mogą upominać się o swoje prawa, a społeczeństwo, jeżeli tylko własną korzyść zrozumie, słuszność wymagań potrafi ocenić.

J. K. Potocki.

Choroby pamięci *).

Wyrazem „pamięć“ oznaczamy trzy własności: zachowywanie pewnych wrażeń, odtwarzanie ich i umiejscowianie w przeszłości.

Jak tkanka mięśniowa za pomocą doświadczenia, często powtarzającego się, nabiera nowych własności (np. automatycznie spełniających się ruchów), podobnież i tkanka nerwowa, podlegając rozmaitym wrażeniom, zmienia się stosownie i zachowuje ich ślady. Zmiany te stanowią grunt pamięci. Czy one dotyczą chemicznego składu elementów nerwowych, czy też ich anatomicznej budowy, tego dotychczas niewiadomo. Pamięć nieświadomą nazywamy „organiczną,“ jest ona prawdopodobnie dziedziczną, tj. w początkach istnienia ludzkości nabyta, następnie utrwalona przez liczne doświadczenia, przechodzi z jednego pokolenia na drugie, coraz bardziej udoskonalając się. Jako przykłady prawdziwej pamięci mogą służyć ruchy automatyczne wtórne: chodzenie, bieganie, taniec, pływanie i inne podobne ćwiczenia ciała. Wymagają one pamięci organicznej, która od psychologicznej różni się li tylko brakiem świadomości. A więc — niezgrabność jest jedynie oznaką słabej pamięci organicznej.

Gdzież umiejscowionym jest jej organ? Wedle nowszych spostrzeżeń zdaje się, że powtórzenie dawnego wrażenia zależy i powstaje w tych samych miejscach, na które ono działało pierwotnie. A zatem — niema *jednej* pamięci, lecz są *liczne*, rozmaite; niema jednego organu pamięci, lecz rozmaite jej narządy. Wytworzenie danego wspomnienia wymaga dwu warunków: pewnej specyalnej zmiany w elementach nerwowych (podwaliny statyczne pamięci) i ustanowienia stałych związków pomiędzy rozmaitemi grupami nerwowych elementów (podwaliny dynamiczne). Ponieważ ilość owych związków może być niemal nieograniczoną, więc i ilość wspomnień tj. rozległość pamięci jest niezmierną. Pamięć bogata jest zatem nietylko zbiornikiem rozmaitych odbitek w naszym umyśle, lecz także zbiorem licznych dynamicznych związków, pomiędzy nerwowemi komórkami i włóknami, które w każdej chwili gotowe są do odtworzenia się.

Świadomość stanowi jeden z warunków pamięci psychicznej i powstaje wtedy dopiero, gdy wrażenie jest dosyć silne i trwa dosyć długo; w przeciwnym zaś razie pamięć danego faktu istnieje w komórkach mózgowych, lecz bez świadomości.

Pamięć świadoma polega na umiejętności umiejscowiania danego wrażenia w przestrzeni czasu. Każdy człowiek posiada tak zwane *punkty wytyczne*, do których stosuje inne wrażenia. Narzucają się one same i, jako silniejsze, walczą ze słabszemi wrażeniami, które szybko znikają z pamięci psychicznej, trwając jednak w organicznej.

Zaburzenia pamięci mogą być albo *ogólne*, albo tylko *częściowe* tj. ograniczone do pewnej grupy wspomnień.

Ogólne braki (*amnezya ogólna*) bywają albo *czasowe*, albo *peryodyczne*, *postępujące*, a wreszcie *wrodzone*.

Czasowe amnezye powstają nagle, trwają przez pewien czas, rozciągający się od kilku minut do kilku lat, a potem giną w sposób nieznany, i chory odzyskuje zupełną pamięć. Padaczka jest tu najoczywistszym przykładem.

Niekiedy czasowa amnezya pozostawia niczem niezapełnione szczerby. Z czasem pamięć powraca albo sama przez się i nagle, albo powolnie i przy obcej pomocy; w niektórych razach częściowa jej utrata jest stałą i wymaga powtórnego wykształcenia. Przykład: młoda kobieta podczas porodu straciła na jakiś czas przytomność, a po odzyskaniu jej zapomniała o wszystkiem, co się stało od chwili jej zamążpójścia aż do porodu. Nie pamięta, że ma mę-

*) Th. Ribot: *Les maladies de la memoire*. Paryż.

— Nie sprzedam...

— Nu, jak pan chce. Trzymaj pan swój charakter zatem z biedą, Aron zatrzyma zaś pieniądze. Bądź pan zdrów!

To mówiąc, wrzucił napowrót wyjęty dukat do woreczka, który następnie, nie spiesząc się, schował do kaftana i zabierał się powoli do odejścia. Zawrócił jednak ode drzwi.

— Aron ma dobre serce — rzekł — nie chce pozostawić w nędzy sprawiedliwego człowieka.

Wiesz pan co?... Daj mi pan swój charakter w zastaw. Pożyczę pieniędzy na mały procent... pięćdziesiąt od sta. Nu, jak się panu podoba mój projekt?

Alfred się wahał. Rozejrzał się po pokoju: szafa ziewa, pościel drzemie, półka na książki się smuci a bieda mówi:

— Nigdy, nigdy cię nie opuszczę!

Wreszcie powziął postanowienie. Machnął ręką i zawołał:

— No, weź go sobie w zastaw!

Zamyślił się jednak natychmiast. Jak można charakter zastawić? Przymknął oczy, otworzył je znowu — żyd stoi przed nim; uszczypnął się w powiekę — żyd nie zniknął; stoi przed nim i mówi:

— Wiem, o co panu chodzi. Ale to do Arona należy.

To mówiąc, wydostał z kaftana zwyczajne pudelko na pigułki, otworzył je a po chwili zamknął.

— Tak, charakter pański jest tutaj! — mówił z uśmiechem, wskazując na pudełko.

Z przestrachem spoglądał Alfred na nie; w zmroku przesylabizował napis na niem: *Szlachetne charaktery.*

— Widzisz pan — mówił żyd — jaka poczesna etykieta dostała się pańskiemu charakterowi. A rozdzielam je wedle ich wartości. Tu — mówiąc to, wyjął z kaftana inne pudelko — tu masz pan poczciwe „staroczeskie charaktery.“ Znajdziesz je pan zazwyczaj u starych ludzi z długimi wąsami, którzy nikogo nie zabili. Tu są „charaktery giętkie.“ Są dosyć tanie, ale nietrwałe; przedewszystkiem trzeba zwracać na nie uwagę, gdy wiatr wieje od strony przeciwnej; dają je polityczni zwolennicy w prezencie przy rozmaitych okolicznościach. W tem zaś pudelku chowam „charaktery ludzi *porządnych...*“ w większej części same wybiórki... Ale co tam panu do moich pudelek! Potrzebniejsze są pieniądze na drzewo, nieprawdaż?

Dobył znowu woreczka i począł kłaść na stole dukat przy dukacie...

Nagle zatrzymał się.

— Za pięć lat o takim samym czasie stanie znowu Aron przed wami, panie, gdziekolwiekbyście się znajdowali. Jeżeli mi nie zapłacicie z procentem wypożyczonej kwoty — charakter jest moim. Rozumie pan?

Alfred kiwnął głową. A żyd-czarownik sięgnął dalej do woreczka. Z bajeczną szybkością wyrastały złote kupki a bezdenny woreczek nie zmniejszał się wcale. Daj nam Boże wszystkim takie woreczki!

I minęło lat pięć. Widzimy Alfreda w jednym z owych wirów, co to szampanem się pienią, błyszczą brylantami i jedwabiem szeleszczą. Blask dzienny, wodospadów szum, barwne cienie, odbijające się w wodach, upajająca woń ogrodów wschodu—wszystko zgromadził tu demon złota i utworzył zaczarowaną krainę na małą skalę.

Alfred przedstawia się bardzo dobrze: kształty jego ciała zaokrągliły się, twarz kwitnie zdrowiem a z oczu przeziera spokój. Widać, że czaszę rozkoszy wypróżnia powoli, w odmierzonych dozach, z rozwagą prawdziwego epikurejczyka. Brak charakteru służy mu dobrze.

Tam jego małżonka. Jestże to owa wspaniała, ale zimna dziewica, której obraz przed pięciu laty utkała fantazya jego na ostatnim obłoczku dymu fajki? O, nie! Lód jej serduszka stopniał łatwo w blasku dukatów Alfreda. Ale za to serce jego zlodowaciało równocześnie. Nie wabił go już uroczy obraz dziewczęcia w ramkach z dymu, ale jedynie w ramach z czerwonego złota. Nie kochał zresztą swojej żony, bo i ona go nie kochała; nie przeszkadzało to jednak obojgu w niczem... Głupi, co sobie sam psuje należyte użycie żywota jakimiś starymi przesądami!

Brak charakteru u Alfreda jest publiczną tajemnicą. Każdy o tem wie, każdy czyta to z jego czoła. A przecież pnie on

ża i że urodziła dziecko, chociaż wierzy temu, gdy ją przekonywają. Tymczasem doskonale pamięta inne wypadki życia.

Ta utrata pamięci dotyczy albo wspomnień poprzednich, jak w przytoczonym przykładzie, albo nowych, tj. chory doskonale pamięta wszystko, co się stało aż do tej słabości, podczas gdy odtąd wrażenia nie pozostawiają żadnych śladów w jego umyśle. Niekiedy stan ten się poprawia, chory odzyskuje pamięć, niekiedy jednak wymaga nowego uczenia. Pewna 24-letnia pacyentka przez dwa miesiące pozostawała w stanie śpiączki, z bardzo niskim stopniem świadomości; po wyzdrowieniu zapomniała wszystkiego, co przed chorobą umiała, i była zmuszoną na nowo uczyć się mowy, czytania itd.

Dodać jednak wypada, że pamięć po części istniała, gdyż owa kobieta w trzy miesiące nauczyła się wszystkiego ponownie.

Amnezye peryodyczne są nader ciekawe, najbliżej bowiem obchodzą istotę samego „ja." Do tej grupy należą te wypadki, kiedy chory sądzi, że składa się z dwóch istot. Przez pewien czas jest jedną istotą, następnie drugą i tak dalej naprzemiany a w każdym z tych stanów zmienia się charakter.

Ta podwójna pamięć, to dwoiste „ja," stanowiło kiedyś ulubione tematy dla powieściopisarzy, mistyków i romantyków.

Przy *postępowych amnezyach* pamięć, drogą powolnego zniszczenia, zanika zupełnie. Naprzód ginie znajomość faktów najświeższych, potem myśli, uczucia i afekty, a na końcu — czyny i ruchy. Wspomnienia młodości znikają później, niż z lat ostatnich; zdobycze naukowe (inteligencya) łatwiej się zapominają niż uczucia; a codzienne mechaniczne czynności, przyzwyczajenia itp. trwają najdłużej. A zatem postępowy zanik pamięci podlega pewnemu logicznemu porządkowi, prawu, które Ribot nazywa *loi de regresion.*

Wrodzone amnezye spotykamy u idyotów i kretynów. Zwykle cała pamięć jest u nich słabo rozwiniętą, niekiedy jednak pewne jej cząstki istnieją, a nawet w nadmiernym stopniu. Tak np. niektórzy idyoci mają doskonale rozwinięty słuch muzykalny. W szpitalu Jana Bożego w Warszawie widzieliśmy przed kilku laty idyotę, który za papierosa lub kawałek chleba doskonale naśladował napad epilepsyi, a nauczył się tego od swych rzeczywiście chorych towarzyszów. Inni powtarzają z pamięci całe stronice raz przeczytanego im na głos dzieła, a nie są w stanie nauczyć się czytania.

Dowodem rozmaitych składowych części pamięci jest ten powszechnie znany fakt, że niektórzy ludzie tylko w pewnym kierunku posiadają tę władzę doskonale rozwiniętą. Vernet np. i Doré z pamięci malowali portrety; niektórzy szachiści (Rosenthal w Paryżu) na pamięć grają po kilkanaście partyj; cudowni rachmistrze, jak np. Zerach Collburn, mają przed oczami całe stosy liczb, które mnożą w głowie; Mozart, dwa razy wysłuchawszy *Miserere* w kaplicy Sykstyńskiej, spisał całe bez błędu itd. Z tych i podobnych przykładów wnioskować można, że pewne części układu nerwowego są albo silniej rozwinięte, albo więcej wrażliwe i łatwiej zatrzymują wspomnienia. Ponieważ prawie każdy człowiek ma w pewnym kierunku lepszą pamięć, niż w innych, przeto owe przypuszczenie co do rozmaitej budowy oddzielnych części mózgu stosuje się do wszystkich ludzi. Wykształcenie, przyzwyczajenie itp. oddziaływają na owe od natury więcej rozwinięte części mózgowia. Taką jest zatem psychologiczna podstawa talentów, zdolności, usposobień a może i charakterów.

Ponieważ w prawidłowym stanie pewne rodzaje pamięci są stosunkowo niezależne od reszty, nic więc dziwnego, że w chorobnym pewien rodzaj ginie, a inne pozostają nietknięte. Rzadko jednak się zdarza, by zanik pamięci tyczył się jednej, ograniczonej tylko grupy; zwykle, oprócz niej, nikną także cząstki innych, a obraz patologiczny staje się bardziej skomplikowanym. Posiadamy wszakże jeden bardzo charakterystyczny rodzaj cząstkowej amnezyi, a mianowicie *zapomnienie znaków* (mowy, pisma, wykrzykników, gestów). Ta utrata pamięci jest albo chwilową i powstaje pod wpływem rozmaitych silnych wrażeń lub głodu, wyniszczenia, zmęczenia, różnych chorób itd. a przechodzi, gdy organizm wraca do zdrowia; albo też jest stałą i wymaga powtórnego wyuczenia się zapomnianych przedmiotów. Zdaniem Ribota amnezya znakowa jest chorobą *wspomnień ruchowych*. Podobnie jak wszelkie wrażenia i pojęcia, tak samo i pewne poruszenia wymagają bytu pewnych śladów w komórkach mózgowych, pewnych między niemi połączeń, gdyż tylko wtedy można za każdym razem je powtarzać. Nasza intelektualna działalność składa się z szeregu stanów świadomości, połączonych z sobą w pewnych warunkach. Każdy taki akt świadomości, choć wydaje się prostym, jest jednak złożonym. W normalnym stanie części stanowią jedną organiczną całość, podczas choroby zaś rozłączają się. I tak np. chorzy zapominają pewnej części słów, ale pojęcia przedmiotów, których nazw zapomnieli, istnieją w ich pamięci. Nie są w stanie powiedzieć np. „nożyczki," lecz mówią: „to, czem się kraje," To samo niekiedy zdarza się zdrowym: zapominają jednego słowa, które „mają na końcu języka," ale go nie mogą wypowiedzieć. Ta amnezya zależy od zmian w elementach ruchowych nerwów. Przekonywają nas o tem fakty tego rodzaju, że chory doskonale pamięta dany przedmiot i nazwę jego wtedy, gdy nie może go nazwać; gdy pokazujemy mu nóż i pytamy, czy to jest chleb albo lampa, zaprzecza, a gdy rzeczywistą wspomniemy nazwę, natychmiast potwierdza kiwaniem. A zatem pamięć wyrazu istnieje, lecz zaginęły w niej te warunki, za pomocą których wrażenie się odtwarza. Czasem chorzy zapominają mowy, lecz mogą pisać, inni przeciwnie, mówią, lecz nie piszą; niektórzy ani nie piszą, ani nie mówią, lecz się porozumiewają mimiką itp. Afazya bywa albo krótkotrwałą, albo chroniczną. Niekiedy z początku mało rozwinięta, powoli coraz bardziej się rozprzestrzenia, i wtedy stwierdzamy następujący jej przebieg: naprzód chory zapomina słów, następnie wykrzykników, malujących rozmaite afekty, a na końcu dopiero gestów. Imiona własne prędzej nikną, niż rzeczowe, te wcześniej, niż przymiotniki, a to dlatego, że najpierw poznajemy własności pewnego wrażenia, niż jego nazwę, a zatem własność jest wspomnieniem bardziej stałem, niżeli nazwa, a zanik pamięci postępuje od mniej stałych wspomnień do stalszych.

Oprócz chorób wspomnianych, zmniejszających natężenie pamięci, znamy jesz-

---

dumnie czoło swoje w górę, a ludzie kłonią przed nim pokornie swoje głowy. Pierś jego pokryta orderami, najwyższemi obsypany jest godnościami; dostojeństwo, piękność, mądrość leżą u nóg jego. Roztropni ojcowie stawiają go za wzór synom swoim: patrz, jak się wybił na wierzch! Jaką drogą — co komu do tego? Wszyscy się przed nim korzą: sędziwi starcy, uskarżający się na zepsucie teraźniejszego świata, młodną przy uściśnieniu jego ręki, zasępionym filozofom rozjaśniają się oblicza, gdy się twarz jego miłościwie do nich uśmiechnie, obrońcy prawa stają w jego przedpokojach, polityczne stronnictwa zwodzą znów zażarte walki, imię jego czytasz w panegirykach, dziennikach, broszurach, leksykonach, książkach szkolnych...

A w owej izdebce pod dachem, gdzie zastawił swój charakter, siedzi znowu chudy, blady młodzieniec w zblakłych pantoflach i strzępach jakiejś odzieży i dedykuje mu przy ostatnich błyskach łojowej świeczki długi poemat, pełen zapału dla wzniosłych celów człowieczeństwa...

A ja?... Jabym pisał raczej odę do złota! Ta by najlepiej odpowiadała duchowi czasu. Oda Dzierżawina już się przeżyła; dla naszego wieku niema ona już wartości, chyba w ten sposób, jak ją cesarz chiński uwiecznił: złotemi literami na jedwabnej materyi.

Boć też i złoto jest bogiem naszego stulecia! Niebiosa głoszą jego sławę: nad księżycem-talarem i gwiazdą-drobną srebrną monetą błyszczy olbrzymi dukat-słońce. Za złoto lejemy krew w bitwach, poświęcamy się dla ojczyzny, miłujemy człowieczeństwo, pracujemy rękami i głową, za złoto gromimy wiernych z ambon, siodłamy pegaza — za złoto piszę i ja tępem piórem moją satyrę.

O kruszcu, jasny, mocny, boski — wielbię cię w prochu! Dniem i nocą chciałbym przebierać palcami na złotej harfy złotych strunach i opiewać twoją chwałę twoim własnym, niebiańskim, złotym dźwiękiem!

Zaiste, odpuścicie mi chyba, najmilsi bracia w złocie, to zboczenie od wątku mej historyi, poświęconej temu, co mnie i wam najdroższe jest pod słońcem.

Lokaj oznajmił Alfredowi, że na dworze stoi brudny żyd jakiś i gwałtem domaga się, aby go wpuszczono. Alfred przypomniał sobie zastaw, przed pięciu laty dany.

— Wprowadź go do mego gabinetu — rozkazał.

Pokoik milutki, dyszący rozkoszą. Od podłogi do sufitu pokryte są ściany podobiznami ślicznych kobiet, żywych, melancholicznych, dumnych, łagodnych, szczupłych, pełnych, w najrozmaitszych pozach i toaletach, jakie piękna dziewica tylko przy zamkniętych drzwiach powierza zwierciadłu.

I znowu stali Alfred i żyd-czarownik naprzeciw siebie.

— Spóźniłeś się — rzekł tamten — patrząc na zegarek.

— A tak, przez podkupywanie — odpowiedział żyd. A przytem straciłem jeden piękny charakter, który kupiłem był za granicą. Na granicy mi go zatrzymano. Nie wiedziano na pewno, czy kupowanie charakterów należy do regaliów państwowych, czy też nie. I posyłano mój miły charakter sub sig. $\frac{1}{2}$ z kancelaryi do kancelaryi — Bóg wie gdzie, ale tyle wiem przecie, że biedny charakter już w pierwszej kancelaryi niknąć począł, a gdy doszedł dalej, nie zostało z niego nic, tylko owo sig. $\frac{1}{2}$ i trochę piasku na nim...

— Niesiesz mi zastaw, nieprawdaż? — przerwał mu Alfred.

— Tak, wielmożny panie — odpowiedział żyd i dobył z kaftana zbrukane pudełko.

— Zachowaj go sobie. Nie dbam o nie. Przekonałem się, że bez charakteru żyje się bardzo wygodnie, ba, jeszcze lepiej, niż z nim. Ale bym ci coś jeszcze sprzedał...

— Nu?

— Pozostało mi trochę wstydu, a ten mi czasami zawadza. Sprzedam ci go.

Aron wzniósł ręce w górę, potrząsł głową i odpowiedział z szyderczym uśmiechem:

— Niema geszeftu! Towar ten wyszedł już dawno z mody. Niech się wielmożny pan raczy tylko rozglądnąć po ścianach swojego pokoju...

Tłom. *Stefan Ramult.*

cze cierpienia, objawiające się jej nadmiarem, czyli t. z. *hypermnezye*, które też bywają albo *ogólne*, albo *cząstkowe*. Ogólne pobudzenie przejawia się tem, że podczas pewnego czasu powstaje nagle masa nowych wspomnień; zauważamy to nieraz podczas ostrych gorączkowych chorób, ekstaz, hypnotyzmu, hysteryi, w niektórych chorobach mózgu. Te pobudzenia ogólnej pamięci zwykle prędko mijają. *Hypermnezye cząstkowe* powstają bardzo często i niepodobna ich dotąd objaśnić. Znamy wiele nader ciekawych przykładów. Tak np. roczne niemowlę, które patrzyło na śmierć własnej matki, po kilkunastu latach nagle przypomina sobie wszystkie szczegóły tego faktu i opowiada je ze zdumiewającą dokładnością. Podobnież niektórzy ludzie, co umieli, lecz zapomnieli pewnego obcego języka, po wielu latach, pod wpływem choroby, lub z innej przyczyny, przypominają go sobie. Katolicy, którzy przeszli na łono protestantyzmu i kilkadziesiąt lat przeżyli w nowej wierze, w chwili skonu zaczynają się modlić podług katolickiego rytuału. Z tego widzimy, że pewne wyrzekania się kacerstwa przy zgonie są tylko objawem rozstroju umysłowego, zaniku nowszych komórek mózgowych, w których istniały wspomnienia świeższe, i rozbudzoną działalnością starych komórek, odtwarzających dawne wspomnienia.

Oprócz amnezyi i hypermnezyi mamy jeszcze jeden ciekawy stan, tak zwanej *pamięci fałszywej*. Polega on na tem, że człowiekowi, doznającemu po raz pierwszy pewnego wrażenia, wydaje się, jakoby już dawniej go doznawał. Spotykającemu np. po raz pierwszy w życiu jakąś osobę, lub widzącemu nowe miasto, zdaje się, że już kiedyś to samo widział. Rozmaitego rodzaju sympatye, antypatye, przeczucia osób itd. są analogiczne temu stanowi, który tłomaczymy sobie w ten sposób, że otrzymane wrażenie wywołuje analogiczne, podobne, lecz nieokreślone, ledwie dostrzegalne wspomnienia, dzięki którym zdaje się nam, żeśmy już kiedyś przechodzili to samo, co w danej chwili.

Po szczegółowsze wyjaśnienie *chorób pamięci* odsyłamy czytelnika do książki Ribota.

L. Wolberg.

Pesymizm i etyka.

II.

Teraz, gdy już w ogólnych rysach znane nam są roszczenia pesymizmu, przypatrzmy się zbliska, co, zdaniem jego, nadaje mu prawo szerzenia filozofii rozpaczy; czy i jakie fakty życia powszedniego zaczerpnięte stwierdzają ten z niezachwianem przekonaniem postawiony pewnik, iż suma niedoli przewyższa sumę szczęścia. Pesymizm w swej części metafizycznej jest naturalnie pomysłem zupełnie oderwanym; lecz, gdy chcemy z dziedziny przypuszczeń fantastycznych ściągnąć go na ziemię, trzeba mieć po temu odpowiednią zasadę: świadczy to o nader luźnem powiązaniu kierowniczej woli bezwzględnej z niedolą człowieka, o tem, iż druga z pierwszej niekoniecznie wypływa, i chociaż ani H. Sommer, ani P. Christ uwagi na to nie zwrócili. Nam się zdaje, iż to znakomicie osłabia wszystkie szruby, spajające pojedyncze części systematu, nadając mu charakter nietylko w całości, ale i szczegółach naciągania. Zasad takich znajduje Schopenhauer wiele, a Hartmann jeszcze więcej własnych do nich dodaje. Kolejno rozbierając dodatni i ujemny pierwiastek we wszystkich dobrach naszego życia, dochodzi on do przekonania, iż w każdym rozkosz od kosztów na nią wyłożonych jest mniejszą. Każde zadowolenie naszej woli wymaga natężenia nerwów i w końcu znużenia; samo to zadowolenie jest nietrwałem, prędko przesyca, tak iż przykrość po niem i przed niem doznana każe o niej zapomnieć zupełnie; a nadto przykrość łatwiej daleko przenika do świadomości, niż rozkosz i tym sposobem nawet jednakowe ilości obu nie równoważą się wzajemnie, lecz przewyżka zostaje po stronie przykrości. Całe życie jest nudnem, nawet w normalnym stanie dobrobytu. Jedyną wartość przyznaje Hartmann rozkoszom umysłowym i, jak Schopenhauer, zajęciu się sztukami pięknemi. Wszystkie inne bodźce i stany duchowe mają, jako rozkosze, znaczenie drugorzędne, jeśli nawet można od biedy nazwać je rozkoszami: albo sprawiają wieczną przykrość, albo w skali szczęśliwości stoją na punkcie zera. Jedne, jak żądza władzy, posiadania, honor, służą do celów dalszych, zewnętrznych i same, jako cele, są tylko złudzeniami. Inne sprawiają wprawdzie jednej stronie pewną przyjemność, lecz za to stronie biernej o wiele większą przykrość. Inne znów z rozkoszą przeplatają większą jeszcze przykrość, jak głód, miłość płciowa, miłość dla dzieci, współczucie, ambicya, próżność, nadzieja a opierają się na samych złudzeniach. Inne wreszcie stany mają na celu zażegnanie nieszczęścia, biedy, jak np. praca. Po rozebraniu wszystkich tych kategoryj Hugo Sommer stawia wniosek, iż Hartmann doszedł do tak czarnych wyników dlatego jedynie, że zbyt ciasno i jednostronnie pojmuje rozkosz i mierząc wszystkie jedną miarą, bezwiednie nadaje każdej charakter mniej więcej zmysłowy. Gdyby zaś umiał uszanować w nich pierwiastek szlachetny, nie byłby tak potępiającego wyroku na życie ludzkie wydał. Rzuca on gromy na cynizm Hartmanna, nie pojmując, jak można miłość, tę najwznioślejszą z rozkoszy, nazwać narzędziem celowości natury, złudzeniem dla zasłonienia jej celów rozpłodowych. Że kochające pary bezwiednie dobierają się, by uszlachetnić ród ludzki, to w samej rzeczy cokolwiek ryzykowne twierdzenie, bo mnóstwo potworów, kalek wszelkiego rodzaju, półgłówków, rodzących się z najlepiej nawet harmonizujących z sobą kochanków, chyba nie przyczynia się do udoskonalenia naszego rodzaju i zarówno Sommer, wróg darwinizmu, jak i Christ przychylnie dlań usposobiony, aż nadto wyraźnie widzą niedorzeczność przesadzonia go. Samo małżeństwo, chociaż Hartmann przyznaje mu również doniosłą, jak i wszyscy socyologowie, rolę, obok skąpej dozy rozkoszy, przynosi z sobą mnóstwo trosk, kłopotów i cierpień. Szał romantyczny szybko mija, by pozostawić w spadku po sobie gorzkie rozczarowanie, zabójczą prozę domowego ogniska, złożoną z takich nieponętnych epizodów, jak pielęgnowanie niemowląt, następnie wychowywanie starszych już dzieci, w miarę wzrostu cywilizacyi coraz trudniejsze. Nawet wiek młodzieńczy, okres zapału, szlachetnych uniesień, fizycznej mocy i zdrowia, nie zadawalnia Hartmanna: są to tylko warunki do szczęścia potrzebne, są to ramy, w których można wstawić piękną mozajkę życia, lecz które zawsze pozostają pustemi. Nic dziwnego, że obaj autorowie, a w szczególności Sommer, piętnuje tę nieczułość na najlepsze, według niego, dary żywota mianem zużycia, właściwej starym rozkosznisiom, którzy dla zrozumienia przyjemności potrzebują szczególnych przypraw.

Tyle co do uciech jednostronnego małżeńskiego życia.

W sferze życia społecznego nie lepiej się dzieje. Każdy instynkt towarzyski, jak również każdy stan przez łączność z innymi ludźmi wytworzony, z odrobiną przyjemności i estetycznych wrażeń łączy nieprzebrane źródło prozy i przykrości. Czem jest owa tak powszechnie czczona towarzyskość? zapytuje Schopenhauer. Wstrętnemi dla każdej szlachetniejszej duszy kajdanami. Ludzkość składa się z samych prawie głupców i niegodziwców, z którymi przebywanie powinno być raczej uważane za mękę nie do zniesienia, niż za duchową roskosz. Szczyt szczęścia — to samotność. Co prawda, trudno zupełnie odmówić temu gorzkiemu sądowi o naszem powszednim otoczeniu słuszności. Czyż mało jest ludzi, którzy zrażani na każdym niemal kroku dokuczliwym kretynizmem proszonych i nieproszonych znajomych, radziby uciec od płochego zgiełku tuzinkowych towarzystw i jak Hamlet pragną choćby w skorupie orzecha zamknąć całą swoją istność, byleby krąg ulubionych swych myśli i trawiących cierpień nieprzystępnić jadowitemu żądłu głupoty? To też P. Christ niemal podpisuje to bez ograniczeń wypowiedziane przez Schopenhauera twierdzenie. Za to Hartmann przyjmuje je z zastrzeżeniami. Zawsze skłonny do łagodzenia szorstkości mistrza, nie ogałaca całkowicie życia towarzyskiego z uroków. Owszem w przyjaźni znajduje, jak Epikur, prawdziwą rozkosz, jedną z najwyższych może, lecz jednocześnie ubolewa, iż tak rzadko spotkać się można ze stosunkiem prawdziwie przyjacielskim, w którym panowałoby prawdziwe, wzajemne porozumienie i poświęcenie się dla siebie obu stron, a kończy zwykłą swą nutą, że odczuwanie boleści przyjaciela samo zbyt wielką stanowi boleść, by nawet przyjaźń nazwać można było rozkoszą. Względnie najczęściej napotkać można serdeczne przywiązanie między małżonkami, z czem chyba nie zgodziłby się Schopenhauer, uważający poligamię za właściwą i najbardziej odpowiadającą naturze ludzkiej formę pożycia.

Nie różowiej też przedstawia się w świetle pesymizmu państwo. Człowiek z natury jest samolubnym i chciwym; *homo homini lupus*, stąd też państwo jest dla Schopenhauera tylko instytucyą ochronną, skierowaną ku okiełznywaniu drapieżnych instynktów. Siła wojskowa—to główna podwalina społecznego spokoju; prawo samo przez się nie wystarcza, siła stanowi wszystko i przeto całem zadaniem nauki państwowej jest ujęcie tej grubej potęgi w prawne normy, tak, iżby siła rządziła za pośrednictwem prawa. Dla Hartmanna państwo jest wielkim zakładem naukowym, w którym obywatele kształcą się dla przyszłego wyzwolenia świata i współzawodniczą z innymi takimiż zakładami. Przewodnia myśl społecznego bytu — to ciągły rozwój; droga postępu jest uciążliwą; tylko genialni na nią wstępują; maluczcy, gdy im sił zbraknie, giną pod stopami olbrzymów; rydwan kultury gruchocze swemi kołami niedołężne ludy i niedołężne jednostki; bezustanna rywalizacya na każdem polu, walka klas i walka narodów — to główne oręże w ręku celowej natury. (D. c. n.)

PRĄDY W NOWOCZESNEJ BIOLOGII.

II.

Takie jest obecne stanowisko nowoczesnych umiejętności morfologicznych. Ale objawy życiowe bada inna jeszcze nauka—fizyologia. Jak morfologia więcej budową, stosunkami form, tak znów fizyologia trudni się więcej funkcyami życiowemi organizmów. Powiadam więcej, gdyż wogóle zupełne oddzielanie organu od funkcyi i funkcyi od organu jest niemożebnem.

Fizyologia sama przez się, jako umiejętność nie opisowa, lecz badająca zjawiska, posiłkująca się nietylko obserwacyą, lecz i doświadczeniem—wymaga z konieczności

używania obu metod, analizy i syntezy. Już z samej więc natury rzeczy więcej powinnaby posiadać elementu filozoficznego, niż nauki morfologiczne. Ale jak obszar i różnorodność form organicznego świata, tak też i różnorodność jego czynności życiowych jest olbrzymią. Filozofia morfologii opiera się głównie na metodzie porównywania tych form różnorodnych i wyprowadzania stąd wniosków ogólnych; dla fizyologii zaś, aż do ostatnich prawie czasów, metoda porównywania prawie była obcą. Tem też jedynie objaśnić sobie możemy fakt, dlaczego morfologia nowoczesna wyprzedziła fizologię na polu pozytywnych spekulacyj filozoficznych, dlaczego ideje darwinizmu, zawierające największe filozoficzne prawdy, wcieliły się w morfologię, zapuściły w nią głęboko swe korzenie, wywarły olbrzymi wpływ na jej postęp i zmianę kierunków, gdy tymczasem dla postępu czystej fizyologii nieskończenie mniejsze miały znaczenie. Tem dziwniejszem wydawać się to musi, skoro zważymy, że prawa, na jakich opiera się teorya rozwoju (dziedziczność, przystosowywanie, walka o byt, wybór naturalny) są same w sobie bardziej fizyologicznej, niż morfologicznej natury.

Przyczyną tego, powtarzam, jest brak w fizyologii metody porównawczej. Bo też do ostatnich prawie lat zadawalała się ona zupełnie badaniem zwierząt wyższych. Królik, kot, pies, gołąb lub co najwyżej nieszczęśliwa żaba—stanowiły jedyny prawie materyał dla doświadczeń i wiwisekcyj, a rezultaty stąd otrzymywane stosowano wogóle do całego państwa zwierzęcego.

Znakomite odkrycia lat ostatnich w dziedzinie anatomii i embryologii porównawczej przekonywają nas ostatecznie, jak trudno jest zrozumieć budowę wyższych organizmów bez znajomości niższych, jak niedokładnie, błędnie i powierzchownie pojmowalibyśmy morfologiczne znaczenie pewnych organów, gdyby metoda porównawcza nie przychodziła nam na każdym kroku w pomoc. Liczne narządy u zwierząt wyższych zostały należycie zrozumiane, gdy przekonano się, iż stanowią one tylko zabytki pewnych ważnych organów naszych przodków. Odkrycie całej masy organów t. z. szczątkowych (będących w stanie zaniku) lub zaczątkowych (w stanie rozwoju) w jasnem postawiły świetle liczne strony ustroju zwierzęcego.

A priori już należy przypuścić, że i funkcye życiowe, podobnie jak organy zwierząt, ciągłym w szeregu pokoleń ulegały i ulegają zmianom, że jedne z nich zanikać, drugie powstawać musiały, że funkcye fizyologiczne zwierząt wyższych, podobnie jak ich ustrój, są tylko wypadkową tych, które dane grupy w ciągu rodowego swego rozwoju odbywały.

Tylko więc badania porównawcze niższych typów zwierzęcych, jako przodków naszych, zdołały należycie rozjaśnić złożone funkcya naszego życia, podobnie jak badania porównawcze ich organizacyi i rozwoju coraz bardziej nam rozjaśniają nasz ustrój.

Organizmy niższe posiadają funkcye życiowe prostsze, mniej zróżniczkowane, łatwiejsze tem samem do zrozumienia, a stopniowe poznawanie coraz większego różniczkowania ich może nam z czasem pozwoli zrozumieć najbardziej powikłane i złożone, jakie dostrzegamy u organizmów najwyższych.

Nowy taki prąd w biologii, zasadzający się właśnie na porównawczem badaniu funkcyj życiowych zwierząt, od niedawnego bardzo czasu zawiał w nauce. Fizyologią porównawczą zaczęli się trudnić ze szczególnym zapałem uczeni francuscy, a także szwajcarscy i belgijscy, podobnie jak morfologię porównawczą gorliwie uprawiają niemcy, anglicy i rosyanie.

Rozwój tej nowej gałęzi biologii, która od pewnego czasu wyrosła już we Francyi, szczególnie stał się widocznym od czasu pojawienia się znakomitego rocznika naukowego *Archives de Zoologie expérimentale et générale*, wydawanego przez Henryka de Lacaze-Duthiers, profesora zoologii w Sorbonie. Rocznik ten, którego pierwszy tom wyszedł w 1871 r., zawiera, prócz prac treści morfologicznej, bardzo liczne, cenne rozprawy fizyologiczno - porównawcze. Imiona wielu badaczów, jak: Jounga, Plateau, Fredericqa okryły się już sławą na tem nowem polu, tak bezdenny, rzec można, materyał do badań przedstawiającem. Z pośród prac rocznika, zamieszczonych w ostatnich kilku latach, na szczególną zasługują uwagę tyczące się porównawczej fizyologii trawienia, nerwów u mięczaków, głowonogich oraz raków, dalej wpływu różnych czynników zewnętrznych na szybkość rozwoju zarodka, działania rozmaitych trucizn na życie zwierząt niższych itd. Liczno z otrzymanych faktów są godne prawdziwego zastanowienia przez swe nadzwyczajne w wielu razach podobieństwo ze zjawiskami, oddanemi w fizyologii zwierząt wyższych znanemi.

W 1880 r. pojawił się znów nowy rocznik naukowy *Archives de Biologie*, redagowany przez prof. Ed. van Benedena i Ch. von Bambeckego, w którym także spotykamy piękne prace treści czysto fizyologiczno-porównawczej.

W taki sposób gromadzi się coraz więcej i więcej materyału faktycznego. Obecnie zbyt jeszcze nauka ta jest mało uprawianą, posiada jeszcze wiele niezupełnie urobionych metod; dlatego też przedwczesnem by było już teraz ogólne wyprowadzać wnioski. Ale posuwa się ona pewnym krokiem, szybko gromadzi coraz nowe zdobycze, stanowiące pozytywny materyał do przyszłych filozoficznych na tem polu dociekań.

W Niemczech ta gałąź biologii o wiele mniej jest stosunkowo, niż we Francyi, uprawianą. Ze szczególnem zapałem oddaje się jej tutaj dr. C. W. Krukenberg, który r. 1881 w towarzystwie przyrodników niemieckich w Braunschweigu przemawiał o doniosłości porównawczej metody dla biologii *), a w wydawanych przez siebie *Vergleichend - physiologische Studien* pomieszcza liczne własne i obce prace naukowe.

W taki sposób spółczesna biologia dwiema różnemi posuwa się drogami do rozwiązania zawiłych spraw życiowych. Morfologia i fizyologia porównawcza zupełnie odmienne mają metody badania i dotychczas niezależnie prawie zupełnie od siebie się rozwijają. Przyszłość rzuci zapewne jaśniejsze światło na głębszą zawisłość zmian, jakim ulegają organy, od zmian, jakim ulegają ich funkcye; a jeśli wykryjemy tu nowe, nieznane nam dotąd prawa, tą zawisłością rządzące, odsłonimy nowe zupełnie tajniki zjawisk życiowych.

Mówiliśmy dotąd o gałęziach naukowych, dotyczących świata zwierzęcego; rzućmy jeszcze okiem na stanowisko nowoczesnej botaniki. I tu dwie spotykamy gałęzie: morfologię i fizyologię. Morfologia roślinna, jakkolwiek wielkie uczyniła w ostatnich czasach postępy i rozjaśniła mnóstwo tajemnic z historyi rozwoju niższych roślin, pozostała jednak, jako nauka filozoficzna, nieco opóźniona w porównaniu z morfologią zwierzęcą. Filogenia roślin, opierając się więcej na danych paleontologicznych i anatomicznych, a mniej stosunkowo na porównawczo-embryologicznych, za jedynie prawie pewne mogących służyć w tym razie kryteryum, bez porównania słabiej jest opracowaną, aniżeli filogenia zwierząt.

*) Odczyt ten był w roku zeszłym drukowany i stanowi pierwszy zeszyt wydawanych przez Krukenberga „Wykładów."

Nowoczesne układy (systematy) naturalne organizmów żyjących opierają się przedewszystkiem na wzajemnem pokrewieństwie („Blutverwandschaft") form. Im bardziej odległe są od wspólnego przodka pewne grupy układu naturalnego organizmów, tem bardziej cechy ich organizacyi różnią się od siebie; im bliższym jest wspólny przodek, tem więcej posiadają cech wspólnych (prawo rozchodzenia się czyli divergencyi cech). Stąd też przy mniej dostatecznych i mniej pewnych danych filogenii roślin w porównaniu z filogenią zwierząt i obecny układ naturalny roślin na słabszych spoczywa podstawach, aniżeli u zwierząt i o wiele częstszym ulega zmianom.

Terminologia naukowa, służąca do określenia pojęć, jakie w danej gałęzi wiedzy posiadamy, stanowi, zdaniem naszem, ważne kryterym stanu umiejętności. Jeśli pojęcia nasze są dobrze, jasno i wyraźnie oznaczone, terminologia także będzie stałą i ściśle oznaczoną. Stąd też wprowadzanie nowych terminów do pewnych nauk w miarę różniczkowania się pojęć naszych, lub też naodwrót, redukowanie ilości terminów w miarę redukowania się pewnych niedokładnie określonych pojęć, ma niewątpliwie wielką swą doniosłość naukową. (Nie stosuję tego bynajmniej do tak często spotykanej a prawdziwie dziecinnej manii wyszukiwania nowych nazw gatunkowych, a nawet rodzajowych dla nowo odkrytych form, różniących się nieslychanie małoznaczącemi i powierzchownemi cechami organizacyi od postaci już znanych). Biorąc tedy pod uwagę słownictwo, każdy myślący naturalista wyznać musi, że we współczesnej morfologii roślin wielki jeszcze panuje chaos, pojęcia w wielu razach bardzo są jeszcze niepewne, do wspólnego mianownika niesprowadzone. Nie szukając daleko dowodów, zwróćmy uwagę tylko, że na oznaczenie tak ważnej morfologicznej części, jak komórka jajowa lub organy rozpłodowe, stanowiące części najzupełniej jednoznaczne, homologiczne w całym świecie organicznym, botanicy współcześni tyle posiadają zbytecznych i gmatwających rzecz terminów, że pozostają sami z sobą w sprzeczności i z monistycznym poglądem na wspólność pochodzenia i organizacyi form roślinnych.

Spółczesna morfologia botaniczna, jakkolwiek bogata w fakty, potrzebuje koniecznie reformatora w rodzaju Ernesta Haeckla, który tak dzielnie przyczynił się do utrwalenia monistycznych poglądów na organizacyę zwierząt.

Dotykając wreszcie nowoczesnej fizyologii roślin, niepodobna nie wspomnieć o odkryciach olbrzymiego znaczenia w życiu najniższych przedstawicieli flory—mikrobów.

Czytelnicy nasi słyszeli o doniosłych badaniach Kocha, Pasteura i wielu innych uczonych, którzy, wykrywszy tajemnice życia tych drobnych istot, rzucili nowe światło na patologię nowoczesną.

Bardziej szczegółowe w tem miejscu rozjaśnianie rzeczy za daleko by nas powiodło. Zauważymy tylko, iż teorya mikrobów, będąca wynikiem badań lat ostatnich, stanowi zawiązek nowej zupełnie dziedziny badań biologicznych. Nie mówiące już o wielkiej doniosłości odkryć w tym kierunku dla celów czysto praktycznych, teorya ta, sprowadzająca zboczenia chorobowe organizmów na grunt pasorzytowy, stanowi nowy tryumf dla monistycznych poglądów na życie organicznego świata: ta sama walka o byt, którą prowadzą bezustannie organizmy w stanie normalnym, przejawia się także w stanie choroby; tu jak i tam walczą z sobą istoty żyjące o byt, a mający więcej odpowiednich warunków istnienia pozostaje zwycięscą.

J. Nussbaum.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Z. Hordyński **Towarzystwo Szubrawców**, Lwów, 1883.

Autor występuje tu po raz pierwszy na pole literackie z rozprawą, zasługującą z każdego względu na bliższe zastanowienie. Jest ona sumienną i źródłową, nietylko uwzględniono w niej prace poprzedników (Chmielowskiego, Ottmana itd.), ale nawet wyzyskana spuścizna rękopiśmiennicza. Co najważniejsza przytem — p. H. zebrał rozproszony po dziennikach współczesnych materyał i zużytkował dwa najważniejsze źródła: *Kodeks* Szubrawców i ich organ *Wiadomości brukowe*.

Autor rozpoczyna swą monografię od ogólnego poglądu na towarzystwa, tak licznie rozgałęzione u nas w pierwszej ćwiartce XIX wieku, rzucając pobieżną wzmiankę o literaturze swego przedmiotu. Dalej w kilku luźnych i dorywczych uwagach usiłuje przedstawić całą epokę oraz dzieje zewnętrzne i wewnętrzne tych czasów, na które przypada działalność Szubrawców. Jest to bezsprzecznie najsłabsza część pracy.

Autorowi brak wiedzy w tej mierze i konstrukcyjnego talentu, który w kilku wybitnych zarysach umie podnieść i ująć charakterystyczne znamiona całej epoki i skreślić świeży jej obraz.

Na poparcie powyższego zdania przytaczam kilka sądów, z jakich się składa cały wstęp do rozprawy. Mówiąc o wolnomularstwie u nas, autor wyrokuje o niem, chociaż wyznaje, że „organizacyi tego związku nie zna," że „nie zostawiło ono żadnego śladu po sobie, ani pamiątki godnej wspomnienia." O *Monitorze* powiada, że jest on najwybitniejszem pismem moralnem XIX w. a nie wie, kto jest jego redaktorem. Przecież nie Krasicki, który kilka artykułów napisał, ale jedynie Bohomolec. Autor kreśli szeroki obraz owych czasów i prawi wiele o prądzie satyryczno-obyczajowym, nurtującym całą Europę, a przecież nie może pojąć, że *Wiadomości brukowe*, które, jak sam wykazuje, tłomaczą dosłownie *Spektatora*, są „spóźnionem echem" tego dążenia powszechnodziejowego i stara się wmówić w czytelnika, że Towarzystwo Szubrawców — to rodzima, swojska płonka, wyrosła i wychowana na gruncie polskim.

Przy tej sposobności ogólna uwaga. Nasza literatura i oświata odgrywają podrzędną rolę w dziejach powszechnych. Jesteśmy z niewielu wyjątkami narodem, który ulegał zawsze wpływom zagranicznym; nie należeliśmy do tego koncertu literatur, które wydały Dantego, Szekspira, Goethego itd., nasi poeci nie stworzyli ogólnoludzkich typów i nie są geniuszami, którzy torowali nowe drogi *ludzkości*. Z tego wynika, że badając całokształt naszego piśmiennictwa, czy też jakiś szczegółowy jego objaw, musimy zawsze odnieść go do tych narodów albo raczej do tych ogólnoludzkich prądów, grup i kierunków, z których nasza literatura ssała żywotne soki a wtedy dopiero zobaczymy każdy fakt i każdego pisarza w prawdziwem świetle.

Ale do rzeczy.

Po ogólnych uwagach o stanie społeczeństwa naszego na początku XIX wieku i o przyczynach genezy Towarzystwa, przystępuje p. H. do przedstawienia zewnętrznej, bezpośredniej pobudki powstania *Wiadomości brukowych*, która ma nam wyjaśnić treść pierwszego numeru tego pisma, a podana tak niejasno i krótko, że nie wiemy nawet, o co właściwie autorowi tego satyrycznego pisma chodziło. Drugiego numeru monografista już nie tyka, zadawalając się tylko jego tytułem. Dochodzi więc do wniosku, że mu nawet nieznanym jest cel, w jakim redaktor pierwszych *Wiadomości brukowych* chciał je wydawać.

A przecież ta „licha satyrka" musiała wywrzeć ogromny wpływ, kiedy wybito jej prawie równocześnie dwa wydania a publiczność obawiała się, aby pismo nie stało się organem mesmeryzmu. Autor stara się zbić przy tej sposobności zdanie Chmielowskiego (*Tygodnik ilustr.* 1878), podkopujące autorstwo Lachnickiego tych satyrycznych świstków, ale polemika nie zawsze tu szczęśliwa. Tak np. nie może przypuścić podwójnej pomyłki L. Rogalskiego (w *Hist. lit.* i *Encyklopedyi*), jakby tego rodzaju fakt nie był codziennym chlebem w naszej literaturze. Rogalski był zdolny dziesięć razy się „pomylić."

Stosunek tych pierwszych dwóch numerów *Wiadomości brukowych*, wydanych, zdaniem Hordyńskiego, przez Lachnickiego, do następnych pod redakcyą Kontryma, nie jest dostatecznie rozwinięty.

Jak wiadomo, występowały *Wiadomości brukowe* nietylko przeciw nadużyciom i wadom urzędników, ekonomów, żydów itd., ale także przeciw duchowieństwu. Zarzucały mu egoizm, obłudę, chciwość, wyzyskiwanie pobożnych dusz. Autor, jak gdyby się bał ubliżyć kaście uprzywilejowanej, dodaje takie usprawiedliwienie: „Że *zarzuty* ich (Szubrawców) pod tym względem, jak wszystkie im podobne, *miały tylko tyle słuszności* za sobą, *o ile się odnosiły do pewnej*, mniej lub więcej ograniczonej i *szczuplej części duchowieństwa*, nie może ulegać najmniejszej wątpliwości."

A gdyby też znalazł się ktoś, któryby się *odważył* podnieść tu choćby „najmniejszą wątpliwość?"

Do największych zalet Towarzystwa Szubrawców należą bezsprzecznie ich postępowe dążenia, które między innemi domagały się usilnie uprawnienia i usamowolnienia włościan. Wycieczki przeciw uciskowi i gnębieniu ludu przez szlachtę są w owym czasie słuszne, odrachowawszy naturalnie tę ważną okoliczność, że Szubrawcy nie są krytycznymi historykami dawno minionej epoki, ale publicystami, mającymi za cel bronią obyczajowej satyry chłostać wady współczesnych. Jak się na tę stronę ich działalności zapatruje p. Hordyński?

„Niestrudzeni — powiada on — w walce, w interesie ludu podjętej, starannie zdaje się (?) okrywają piersiami swemi osobę bezbronnego, w którego imieniu walczą. Jakkolwiek postępowanie takie znajduje usprawiedliwienie swoje w stosunkach, jakie wówczas łączyły chłopka z innemi warstwami społeczeństwa, to w niem właśnie leżało źródło wszystkich błędów (?), w jakie wpadali Szubrawcy w licznych pismach swoich o tym przedmiocie. Postępowali tu oni z przesadą, właściwą ludziom, *obracającym się ustawicznie w błędnem kole rozumowań na temat praw ogólno-ludzkich.*"

A zatem, jeżeli się pracuje nad równouprawnieniem ludu, to się obraca w błędnem kole rozumowań na temat praw ogólno-ludzkich! „Ktoby — dodaje p. Hordyński — z tej wielkiej liczby wycieczek Szubrawców chciał wnosić o ogólnym całej szlachty z ludem wiejskim postępowaniu, wydałby sąd niesprawiedliwy i fałszywy (ale któż używa artykułów publicystycznych i do tego satyrycznych bez krytyki); bo gdyby nadużycia podobne ze strony szlachty były nawet *bardzo częste*, nie mogły być w żadnym razie *regułą*." A zatem pismo obyczajowo - satyryczne ma prawo tylko wtedy występować przeciw wadom społeczeństwa, jeżeli one są „regułą," a jeżeli są tylko „*bardzo często*" pojawiają się?

Krótkowidztwo zdradza autor również oceniając stanowisko i stosunek Szubrawców do romantyków.

Jak wiadomo, byli Szubrawcy w tej, jak w wielu innych sprawach, dotknięci ślepotą swego wieku i dlatego występowali przeciw odrodzeniu się poezyi. P. H. dość śmiało i stanowczo rozstrzyga całą walkę klasyków z romantykami w kilku ogólnikach. Przedewszystkiem nie umie on oddzielić i rozróżnić w tem stanowisku strony społecznej i praktycznej od literackiej i poetyczej. Z tego ostatniego względu mieli romantycy bezwzględną słuszność w teoryi, przywracając prawa wyobraźni i uczucie poezyi, skostniałej w regułach pseudo-klasycyzmu. Również niesłuszny jest zarzut autora, „że romantycy przyczynili się po części do *obniżenia wartości nauk* w oczach ogółu." Któż więcej szedł pod tym względem za postępem Zachodu, któż domagał się bardziej nauki, kto wołał, że trzeba się uczyć, bo minął wiek złoty, kto uprawiał filozofię Kanta, kto wprowadził po raz pierwszy krytykę do historyi, literatury itd., kto zniósł „kwarantannę" nauki?

Bezdroża, przesada i naśladownictwo, które można w każdej epoce i w każdym kierunku napotkać, nie mogą osłabić prawdziwej zasługi romantyków; ich kierunek i pojmowanie poezyi jest o całe niebo wyższe od klasyków, których „praktyczne (?) poglądy" tak podnosi autor. W poezyi nie nie znaczą „praktyczne poglądy," ani „dobro społeczeństwa," ani nawet „dobra wiara i wola."

W pobieżnej wzmiance o zapatrywaniach Szubrawców na przeszłość historyczną Polski podaje p. Hordyński jeden przykład, który razi niewłaściwością swoją: „Panowie — czytamy w nr. 107 *Wiadomości brukowych* — już giniemy. wola jeden z mecenasów, ale nie obcy tą naszymi wrogami, zarodek upadku jest w nas samych — gadamy wiele, narzekamy jeszcze więcej a działać nie chcemy. O gdyby teraz ojcowie wiedzieli, że my całą godzinę straciliśmy na drzemaniu lub rozprawie o jakiejś książce, westchnęliby i ze wzgardą odepchnęli pamiątkę naszego bytu." Do tego miejsca daje p. H. następujący komentarz: „Podobnie *nieostrożnych* (?) wyrażeń można napotkać dość wielką liczbę w *Wiadomościach brukowych*; odrzuciwszy je jednak (!). trzeba przyznać, że w zapatrywaniach na przeszłość naszą byli Szubrawcy trafnymi sędziami."

Szubrawcy brali nieraz wzory do *Wiadomości brukowych* z życia, z najbliższego otoczenia i dlatego ich satyry mają jedną, nieocenioną zaletę: prawdę realną, świadczącą o bystrym zmyśle obserwatorskim. P. Hordyński przytacza kilka przykładów przyznawania się wielu do tej lub owej postaci, odmalowanej w ich satyrze; ale uważa to za „nieuszanowanie osobistości," a drogę tę czerpania z rzeczywistości wzorów do obyczajowej satyry za bardzo śliską.

Wogóle nie jest jeszcze p. Hordyński dostatecznie obznajomiony z literaturą, ale największe błędy popełnia w krytyce historycznej. Mimo to nie można odmówić jego pracy wielu zalet. Zebrał pilnie materyał dość rozproszony, skreślił pełny obraz działalności Szubrawców, porównał *Wiadomości brukowe* ze *Spektatorem* i podał wiele nowych i nieznanych szczegółów.

B. N.

TEATR.

Kto winniejszy? Komedya w trzech aktach Zofii Mellerowej.

Już sam tytuł sztuki wskazuje, że rdzennem jej założeniem jest — *teza*. Kto winniejszy? Autorka to pytanie stawia wobec kwestyi uwiedzenia i cudzołóstwa, które daje istnienie dzieciom nieprawym. Mężczyzna, czy kobieta? Znając zwykły u pani M. pesymizm poglądów na brzydką połowę rodzaju ludzkiego, nietrudno się domy-

ślcć, jaki jest moralny rezultat jej utworu. Podług nas, należałoby zupełnie inaczej postawić pytanie względnie do sytuacyi, będącej osią dramatu. Kto winny? Oczywiście tylko mężczyzna. Z jednej strony uwodziciel bez sumienia, biegły w sztuce plamienia cnót niewieścich, egoista brudny i zwierzęcy, który krzywdzi kobietę, popycha ją do błędu, karanego przez rygoryzm opinii z nadmierną surowością; z drugiej strony—owa kochająca, niedoświadczona ofiara płciowego podboju, której całym grzechem była chwilowa uległość popędom.

Nierówność kary jest prostym wynikiem fatalizmu praw natury, wskutek którego praktyczna odpowiedzialność spada jedynie i wyłącznie na kobietę, a po części także wytworem jednostronności naszych reguł etycznych, regulujących stosunki dwu płci a uosobionych pod przewagą męskiego egoizmu, który przywłaszczając sobie wyłączność posiadania kobiety, zachował obyczajową tolerancyę dla własnych namiętności i słabostek.

Sztuka pani Mellerowej jest słusznym, iście kobiecym protestem przeciwko tej anomalii moralnej, która da się objaśnić, ale nie może być usprawiedliwioną. Autorka rzuca w twarz oskarżenie męskiemu honorowi, który rachuje się ze względami uczciwości, ze skrupułami nawet, a uważa za rzecz godziwą ukraść kobiecie jej cześć, wytrącić ją z kolei życia, zepchnąć w otchłań nędzy i poniżenia. Uwodziciel w komedyi pani Mellerowej jest człowiekiem na wszystkich punktach uczciwym. Chociaż działa w sferze, która często praktycznym względom podporządkowywa przepisy moralne, to jednakże nie staje się nigdy jako adwokat rzecznikiem spraw nieczystych. Za bezwzględnie podłe prowadzenie donżuańskiej praktyki autorka karze go jednak daleko surowiej, aniżeli bywa w życiu i w ręce kobiety składa wymiar sprawiedliwości. Gdy przesycony łatwymi tryumfami uwodziciel po raz pierwszy w życiu istotnie zapragnął czystej miłości i czarów rodzinnego szczęścia, staje przed nim wywołane jakby klątwą losu widmo tej, która przed dwudziestu laty była ofiarą jego miłosnego podboju. Kobieta, którą teraz ukochał resztką niestarganych uczuć, staje się sędzią jego dawnych błędów i żąda rehabilitacyi. Uwodziciel, aby pozyskać jej serce, czyni wszelkie ustępstwa: chce przyznać syna, zrobić go swym spadkobiercą, ale dumny chłopiec wyrzeka się go i ciska pod stopy dobrodziejstwa. Plama nieprawego pochodzenia jest klątwą dla syna i staje w poprzek jego najgorętszym pragnieniom... W zakończeniu sztuki widzimy, jak dwoje serc szlachetnych musi złożyć swą miłość na ofiarę opinii świata, jak biedna kobieta wykolejona rozstaje się ze swym synem, aby spełniać posłannictwo litości, jak wreszcie ukochana przez uwodziciela, ciska mu w oczy potępiające słowa, które są zarazem wyraźnem sformułowaniem przewodniej myśli sztuki. Głównym piętnem utworu jest teoretyczność. Przemawiając w imię słuszności, autorka tak zbudowała go, aby sceny i postacie były argumentami dla przewodniej myśli, a niezawsze dość troszczyła się o to, aby tętniły krwią i życiem. Główne postacie skreślone tu są nie dla tego, aby były przedmiotowem odbiciem prawdy psychicznej, ale aby reprezentowały pewien rodzaj przekonań opinji moralnych. Dlatego też przewaga etyki nad obrazowością, morału nad charakterystyką, widoczną jest na każdym kroku. Uwodziciel, postać zresztą niesympatyczna, ale najbardziej realna — reprezentuje spaczoną logikę męskiego honoru, jest uczciwym w stosunkach życiowych a podłym tylko względnie do kobiet. Kobieta, którą kocha, pod względem pojęć moralnych stanowi zupełny kontrast i niewątpliwie potępia taką przewrotność. Pani Balbińska, pretensyonalna damula, uosabia ten płytki pogląd światowy, który poniewiera kobietą upadłą, ale patrzy przez szpary na grzeszki pań, umiejących chować rozpustę za eleganckim parawanikiem. Nareszcie szlachcic Krukowski, człowiek dobrego serca, przytulający ofiarę błędu, nie posiada jednak tyle odwagi cywilnej, aby śmiało stanąć wbrew zdawkowej opinii, której autorka przyznaje zbyt wielką siłę.

Dla tego też w upostaciowaniu figur przewaga z góry postawionych intencyj etycznych nie przyczynia się bynajmniej do ich plastyki i realizmu. Nieszczęsna matka, dawniej uwiedziona ofiara, jej syn, są to postacie kreślone szlachetnie, ale dość ogólnikowo; piękna wdówka, streszczająca morał sztuki, także niedość ma krwi i kości. Prześliczną za to jest postać Broni, wiejskiego dziewczęcia, pełnego gołębiej prostoty i uczucia, które ujawnia z całą szczerością natury niespaczonej przez towarzyską obłudę.

Gdyby autorka miała więcej siły w rysunku charakterów, sztuka jej nie posiadałaby usterek zbyt usilnie akcentowanej tendencyjności. W każdym razie jednak należy się uznanie pani M. za śmiałe, szczere i niepodległe postawienie poruszonej kwestyi. Kobiece jej pióro nie krępowało się groszową moralnością, nie dało się spętać wymaganiami obłudnej pruderyi i kruchmalnej, mazowieckiej przyzwoitości. Nie jesteśmy zwolennikami nałogowego przeżuwania tak zwanych tematów niemoralnych, które stanowią główną dźwignię dramatu francuskiego; ale nie pojmujemy fałszywej przyzwoitości, która je chce wyłączyć ze sztuki, zapominając, że teatr nie jest od tego, aby dostarczał estetycznej papki dla niemowląt. Nie zachwycamy się bynajmniej komedyą pani Mellerowej, która nie umiała wcielić przewodniej myśli w żywy ruch dramatyczny, nie rozwinęła wreszcie tej siły i sprężystości, z jaką autorowie francuscy rzucają słuchaczom doktryny i paradoksy. Ale za to odczuła wewnętrzną prawdę swego utworu, wyzwała szczerze i śmiało do walki wielką niesprawiedliwość etyczną, miała jakiś przewodni ideał, jakąś wiarę wewnętrzną i dla tego też utwór jej pomimo artystycznych niedoborów budzi większy szacunek, aniżeli całe szeregi scenicznych bawidełek lub konwencyonalnie zręcznych robót, obliczonych na wyzyskanie przeciętnych gustów.

Z grona wykonawców należy się gorący poklask pani Rakiewiczowej i p. Ostrowskiemu, a pannie Czaki i p. Prażmowskiemu słowo uznania za to, że potrafili na scenie odtworzyć młodość umysłu i serca.

S. K.

LIBERUM VETO.

Pożegnanie karnawału. — Uspokojenie się umysłów.— Bal literacko-aktorski. — Tryumf mojego przyjaciela.— Odwaga górników. — Wybór postnych książek. — Telegram polski z Hong-Kong i naturalizm. — Przypomnienie Kasy Mianowskiego. — Moje „dukaty" i niespodziewane odkrycie. — Do celu.

Ponieważ *Przegląd Kat.* nazwał mnie kiedyś „*byłym* synem Kościoła" a ja pragnąłbym wszelkimi sposobami na odzyskanie utraconego tytułu zasłużyć, więc przy sposobności wyznaję, że karnawał jest panowaniem „księcia głupców" a wielki post — instytucyą nader chwalebną. Przedewszystkiem od środy popielcowej można się z ludźmi porządnie rozmówić. Zagadnij wielu w zapusty o najważniejsze sprawy tego świata, usłyszysz:

od jednego: tram, tram, tra ta, ta ta;
od drugiego: boska kolacya!
od trzeciego: boska Filomena!

Czwarty zacznie nogami przebierać, piąty zapyta, gdzie sprzedają najlepsze rękawiczki, szósty tak ci w twarz ziewnie, jak gdyby jego usta były maszyną do zgęszczania powietrza. Ani się dogadać z najpoważniejszymi ludźmi! Za granicą szał ów trwa kilka dni, u nas — kilka tygodni. Gdyby przynajmniej wszyscy przez cały czas trwania gorączki byli zadowoleni! Inna mina przed balem, niż po balu. Jedni mszczą złorzeczeniami zawód swego żołądka, drudzy — oczu lub nóg. O, gdybyś ty biedny ojcze córek na wydaniu wiedział, jak ci za przyjęcie dziękuje tańcująca młodzież!

Ale wszystko to już się skończyło wcześniej niż zwykle — jak mniemam — z następującej przyczyny. Książe karnawału, usłyszawszy, że literaci warszawscy zamierzają wyprawić sobie w Resursie Kupieckiej składkowy bal, postanowił skrócić tegoroczne sprofanowane tym wypadkiem zapusty. Przewidywał bowiem, że ponieważ na takiej zabawie wszyscy nie mogą należyć do komitetu, do czego każdy szanujący się kierownik opinii ma pretensyę, zwłaszcza jeśli nie zasiada w komisyi teatralnej (która znowu porodziła dwu tłustych członków), ponieważ redaktor, przemawiający do 5,000 abonentów, nie usłuchałby nigdy w mazurze komendy redaktora, posiadającego ich tylko tysiąc, więc łatwo przyszłoby do starć groźnych, któreby rzuciły cień na dalsze dni wesela. Stało się wszakże inaczej. Literaci, zapobiegając złemu, do resursy nie przybyli, że zaś miało się wraz z nimi bawić ciało teatralne, więc też bal z dziennikarskiego przedzierżgnął się w aktorski. I podobno z bardzo dobrym skutkiem, gdyż, jak zapewnia mój rumiany przyjaciel, sam on oberwał cztery ogony damom i tak zawzięcie podpierał się lewą ręką w mazurze, że aż wytłoczył sobie dołek w boku. Podczas gdy głównie przezeń fatygowana tancerka błagała: „na litość, dosyć, dosyć!! on tymczasem, wciskając coraz mocniej kułak pod żebra i patrząc na nią zdecydowany, powtarzał: „umrrrę!" On nie umarł, a ona dziś jeszcze niema go dosyć!

Wobec podobnych uniesień, wobec pośpiechu w tańcach dla wyzyskania krótkości zapust, niesłychaną odwagę okazał warszawski zjazd górników, rozpocząwszy swoje obrady w karnawale. Na pochwałę jednak jego członków rzec można, że albo nie przeciągali mazura do „białego dnia," albo odznaczają się bezsennością, gdyż przychodzili na posiedzenia rzeźwi i czujni. Co szanowni górnicy wykopali w swych naradach, opowiemy później; tymczasem pozwalam sobie złożyć dzięki, że rozbudzili nieco nasze życie, śpiące po długim tańcu.

Skoro muzyka ustała, popiół głowy posypał, więc możemy bez roztargnienia pomówić o rzeczach, niemających żadnego związku ani z białym krawatem, ani z długim trenem. Otóż przedewszystkiem, jeżeli znasz czytelniku język rosyjski i pozostały ci z karnawału jakieś oszczędności, kup sobie styczniowy (a gdyby środki pozwalały — listopadowy i grudniowy) zeszyt miesięcznika *Ruskaja Starina*.

A jeżeli nadto przeczytasz w styczniowym *Wiestniku Jewropy* artykulik na str. 388, poczujesz ostatecznie jakąś dziwną satysfakcyę. Co tam jest? Kup, kup, a jestem pewien, że będziesz mi wdzięcznym i po przeczytaniu owych książek, powiesz sobie, jak ja: tego dnia nie straciłem.

Rozpamiętywaniom postnym czytelników moich chciałbym również polecić przypominającą się ich dobrej woli Kasę imienia Mianowskiego. Jak wiadomo, czerpie ona głównie swe zasoby z pięciorublowych składek. W nowym roku puszcza znowu swą skarbonkę między życzliwych. Napełniajcie ją, bo ona karmi naukę. Raz tylko niegodna ręka wyciągnęła się do niej

po wsparcie, inne, które wzięły zapomogę, odniosą społeczeństwu korzyść. Najsympatyczniejsza to i najbardziej ubezpieczona z naszych instytucyi, służących celom naukowym; to też nie powinien ostygać zapał ofiarności dla niej. Pamiętajmy, że byt jej zależy od naszej woli, od wytrwania w zasilaniu jej funduszów. Niech to nie będzie jeden z tych bengalskich ogniów filantropijnych, których spaliliśmy tyle a które wybuchają chwilowo świetnym płomieniem i gasną nagle.

I oto dla was czytelnicy zmieniłem jeden „dukat talentu na grosze, które zaginą w kurzawie niepamięci bez śladu dla literatury ojczystej.“ Tak moje artykuły w *Prawdzie* określa śród łajań poznańska *Warta*. Więc ja mam jakieś „dukaty talentu?“ Odkądże, na litość, bo dotychczas o tem nie słyszałem z ust, które mnie mianują rozrzutnym bogaczem. Z wyjątkiem dwu lub trzech pism, które mi przyznały racyę bytu w literaturze, reszta dowodziła tylko, żem zbyteczny i szkodliwy. Och, zacna *Warto*, gdybym kiedykolwiek zamarzył o uznaniu tych pism. które we mnie widzą „dukaty talentu,“ nie pragnąłbym większej ich łaski nad tę, którą udzielęją fabrykantom melodramatów ogródkowych i kopistom uczonych artykułów z *Encyklopedyi* większej Orgelbranda. Wtedy duma moja byłaby zupełnie zadowoloną. Jeśli zaś szanowna *Warto* nie wierzysz, to poczekaj: niedługo wydam 5 aktowy dramat, który mnie kosztował kilka lat pracy i w który włożyłem moje „dukaty,“ zobaczysz jak nimi na swych stołach brzękać będą wekslarze dziennikarscy, wołając: fałszywe. narodzie strzeż się, fałszywe! A mnie żal serce ściśnie? Nie. Czuję w sobie pęd wystrzelonej kuli, która tam padnie, gdzie została rzucona, bez względu na wszelkie uboczne dmuchania. A sądzę, że to uczucie mają wszyscy ludzie, którzy widzą cel przed oczyma, a nie pytają o niego przechodniów. I nasza literatura ma krytykę poważną, której wskazówki cenić należy, ale nie na każdego, który krzyczy: hej, hej!—warto się oglądać. Niech krzyczy — wreszcie przestanie. Znam w Warszawie pewnego autora, który, naśladując młynarza z bajki i dogadzając przeróżnym wymaganiom, każdy utwór inaczej pisze. I cóż z tego? Każdy jego płód jest ułomniejszy — tymczasem gdyby przedewszystkiem słuchał siebie, najniezawodniej rodziłby prace zdrowe i oryginalne. Każda literatura ma swój chór żab, ale nasza zamknięta głównie w jednem mieście, zbyt jest skotłowana przeróżnemi zawiściami, ażeby głos spokojnej i beznamiętnej rozwagi płynął po niej szeroko. Jesteśmy narodem za małym. Blisko siedzący zawsze się łokciami szturgają. A jeżeli już tak być musi, niechże przynajmniej wolno będzie ufniejszym w swą siłę nic sobie z tych szturgnięć nie robić. Oto dlaczego bojowanie łokcia *Warty* wcale mnie nie gniewa i pozwala mi prosić ją o tę przyjemność —częściej.

Za pozwoleniem: odczytuję moje słowa, czy przypadkiem mojej przeciwniczki nie „zwymyślałem?“ Nie. Chociaż nie odpowiedziałem tak „roztropnie i umiarkowanie“ (o Jezu!) jak zatwierdzony przez nią w tych cnotach *Przegląd Katolicki*.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Przyjemności hrabiny i „kuntentności“ Wojtkowej. — Polski Manchester i niemiecki Pabianitz. — Mowa pogrzebowa ojca Jacentego. — Starsi i młodzi bracia. — Dobrodziejstwa cywilizacyi w Pińsku i w Nasielsku.— Ślimak w bawełnie *Słowa*. — Moja ewentualna wycieczka z Warszawy i nasze upodobanie. — Komedya w Szczuczynie i dramat w Kobryńskiem. — Wpływ najbliższej inteligencyi.

Pani „z hrabiów Russockich N. N.“ w dziele swojem *Dobry ton* utrzymuje, iż należy mówić ludziom tylko *rzeczy pochlebne* i *przyjemne*; a jedna z moich znajomych, „pani z Sołtysiaków Wojtkowa“ powiada, że niema „nijakich kuntentności“, gdy nie dostanie od męża paru gorących szturchańców... Wobec takiej sprzeczności zdań o dobrem i przyjemnem nie wiem, jak mam postąpić z ks. Jacentym, któremu z jednej strony pragnę sprawić jaknajwięcej „kuntentności“, a z drugiej—chciałbym powiedzieć coś pochlebnie przyjemnego — według recepty pani „z hrabiów.“ Ksiądz Jacenty mieszka sobie w pewnem miasteczku, na które my polacy patrzymy, jak na nasz przyszły Manchester, a Niemcy — jak na swój Pabianitz. W tej kolebce naszych nadziei i niemieckich „realności“ kołyszą się obok siebie serca dwóch wielkich dzwonów: katolickiego i kalwińskiego. Ponieważ ludność miejscowa nie wie, który z tych metalowych płaczków skuteczniej wystrasza dusze zmarłe do nieba, przeto obyczajem jest w slawetnym grodzie uciekać się w razie czyjejś śmierci pod opiekę obu dzwonników. Przed niedawnym czasem katolicki anioł śmierci nawiedził mieścinę, zmarła pewna zacna staruszka, która za życia nigdy w żadne spory teologiczne nie wchodziła. Gdy ją wynoszono z kościoła, dzwon katolicki przesłał jej ostatnie swe pożegnanie... Za zbliżeniem się orszaku żałobnego do kirchy — i kalwiński chciał uczynić to samo... Wtedy to właśnie dla księdza Jacentego, co prowadził nieboszczkę do grobu, nadeszła pora działania: Kazał on postawić trumnę na ziemi i rzekł: „Żeby tysiąc niemców *zdechło* — my nie będziemy dzwonili, a oni zawsze muszą!“ To powiedziawszy, posłał kogoś z rozkazem, aby zaniechano dzwonienia w kirsze. Gdy się wola jego spełniła, poprowadził trumnę dalej.

Najprzód, chcąc się utrzymać w granicach „pochlebnej przyjemności“, odważę się zwrócić uwagę księdza Jacentego na malutki błąd gramatyczny, jaki popełnił; wszyscy ludzie bowiem, a nawet niemcy, nie *zdychają*, ale *umierając*, nie myślą, aby i w Pabjanicach bylo inaczej. Powtóre — dla większej ks. Jacentego „kuntentności“ pomimo, że nie wszyscy protestanci są niemcami — nawet w Pabianitzu. Nakoniec dodałbym jeszcze:

> Bezsilny gniew i próżny żal
> Nic skargi nie pomogą
> I *niemiec* pójdzie swoją drogą,

a przynajmniej będzie nią szedł dopóty, dopóki my oprócz wachlarza szowinizmu i zaciekłości religijnej nie wynajdziemy innej przeciwko niemu tarczy... Cóżbyś, kochany księże, mówił o niemcach, gdyby byli katolikami? Pozwól im dzwonić w kirsze, ale niech już nie dzwonią w naszych kieszeniach, bo tam pustki i w naszych uszach, bo tam i bez nich pełno dzikich dźwięków...

Nie wiem również. jakim pochlebnym epitetem opatrzyć należy pana B. „obywatela“ z Wieluńskiego. Chłop nasz, panie dobrodzieju, jest głupi; ani swojej korzyści, ani potrzeb kraju nie rozumie i dla tego np. kredytu mu otwierać nie można, ale obowiązkiem starszej braci jest: „uczyć go i zachęcać do pożytecznej pracy na ojczystym zagonie.“ Tak sobie mówił pewnego razu pan X. paląc dobre cygarko i rozmawiając ze „starszą bracią.“ W jakiś czas potem wieśniacy wieluńscy, do współki z kilkoma znaczniejszymi ziemianami, zapragnęli osuszyć kawałek nieużytecznego bagna. Według opinii inżenierów, główny kanał upustu musiałby przejść przez grunta pana X. Udano się też do niego z prośbą, ale „starszy brat“, chcąc zapewne wykształcić młodsze rodzeństwo w... pieniactwie, nie pozwolił na przeprowadzenie kanału, wbrew wyraźnym przepisom prawa, które go do ustępstw podobnych zmuszają. Wieśniacy z obawy procesu zaczynają z przedsięwzięcia się cofać, kanał zostanie przeprowadzony na planie, a pan X. wypali jeszcze dużo cygar. Miejmy jednak nadzieję, że usłużni nasi sąsiedzi nauczą kiedyś ciemnych chłopów korzystać z dobrodziejstw cywilizacyi...

Dotychczas korzystają z nich w całej pełni tylko mieszkańcy Pińska. co się tłomaczy tem, że miasto zostało niedawno obdarowane drogą żelazną. Głównymi pionerami uspołecznienia są tam... konduktorzy. Wielu z nich oprócz powierzonych sobie towarowych lub osobowych pociągów posiada nadto niekłamany *pociąg* do... złodziejstwa. Dalszych skutków tego kulturkampfu przewidzieć niepodobna, ale dotychczasowe jego wyniki zadawalają zupełnie obywateli miejscowych i wyrywają z ich piersi dzikie okrzyki... zadziwienia. Nie trzeba się tem gorszyć: przez tyle wieków hołota siedziała w bagnie i nic ludzkiego nie widziała — nawet konduktora w zielonym kubraku.

Wobec takich faktów może się nie warto gniewać na korespondenta *Wieku* za to, że wychwala zawiadowcę stacyi w Nasielsku za oddawanie rzeczy przez siebie znalezionych poszkodowanym pasażerom. *Opublikowanie* w Kuryerku uczciwego Bartka, który odnosi do redakcyi zgubioną przez kogoś portmonetkę, może mieć swoją racyę bytu; ale p. p. zawiadowcy stacyj kolejowi winni być od tej „nagrody“ wolnymi, gdyż inaczej potrzeba będzie otworzyć w pismach rubrykę dla notowania imion np. grzecznych korespondentów, którzy nie rozbijają okien sklepowych, albo dla publikowania przykładnych żon, które nie całują się na ulicy z przyjaciołmi męża. Cóż u licha? Wszak nawet konduktorzy w Nasielsku nie mają tak niebezpiecznych pociągów, jak pińscy, a tem bardziej można to powiedzieć o zawiadowcach.

Specyalną rubrykę *bawełnianą* otworzyła w swem piśmie redakcya *Słowa*. Na początek jakiś poczciwiec oskarża w niej większą część szlachty ukraińskiej o sobkostwo i „przesądy towarzyskie“. Hm... Przesądy towarzyskie? Co to jest? Może tu chodzi o powinszowania noworoczne? Niema rady — muszę zobaczyć! Odwijam bawełniane pieluchy, wyrzucam watę i z głębi wydobywam... obrzydliwego ślimaka. Siedzi sobie w skorupie — ani drgnie. tylko ostre rożki trochę mu wystają. A tuś mi, robaczku miły, zdaje się, że ciebie znam... Zkądeś ty rodem? — „Z Egiptu“. odpowiada brzydactwo cieniutkim głosem. A jak cię tam ochrzcono? — „Kastowość“ piszczy ślimak i chowa różki zupełnie. A, rozumiem! Ale wszak redakcya zapewniła, że po dniu 1 marca 1859 r. aniołowie pańscy wzięli cię do swojej chwały?... „Redakcya czerpała ze źródeł urzędowych... jam tylko zmieniła trochę imię—nazywam się kastowość obyczajowa... Dobrze mi u was bardzo i będę tu siedziała dopóki mię niemcy swemi koloniami nie wyploszą...“ Tak, a z czegoż są utkane twoje pieluchy i skąd ta wata?— „To jest specyalna patentowana *miłość kraju*...“ No, prawda, że na 365 numerów, dużo wychodzi tego uczucia, ale przez litość powiedz swojej redakcyi niech go nie monopolizuje. Ja także kocham bardzo swoich ukraińców, ale z miłości swojej nie mogę zrobić bawełnianych pieluszek i waty... Nie mam do tego potrzebnych narzędzi. .

Rozstałem się ze ślimakiem *Słowa* pełen strachu i obawy... A nuż redakcya — za zdradę jej tajemnic — zechce mię zobydzić w oczach warszawskiego społeczeństwa... Będę musiał uciekać; ale już wiem co zrobię. Pozostanę znachorem i przeniosę się albo do powiatu wileńskiego albo do Garwolina. Nad Wilią — za jedno tylko ośle-

pienie, przed poborem do wojska, chłopi płacą „wybawicielowi" po sto rubli, a w Garwolinie cała gmina składa kaucyę pieniężną za przyaresztowanego oszusta, który jej członków leczył „przeginając na kolanach" i skubiąc za włosy.. Och, jak lubimy, aby nas skubano!

Mamy jednak i inne gusta: namiętnie lubimy widowiska teatralne. Nie wiem tylko, dla czego o szczególną dla nich miłość zostali posądzeni mieszkańcy Szczuczyna, do którego zjechały na raz aż dwie korporacye wędrownych synów Melpomeny. Biedni „artyści," pamiętając, że *concordia res parvae crescunt*, utworzyli towarzystwo *dubeltowe*. Pomimo to, sądzę, że jednocześnie należałoby zawiązać w Szczuczynie Towarzystwo Dobroczynności, gdyż inaczej publiczność znudzi się, widząc na scenie ciągle tę samą sztukę: „O chlebie i wodzie".

Daleko ciekawszy i bardziej wstrząsający dramat rozegrał się teraz w okolicach Kobrynia. Pewien paroch, zwątpiwszy snać o cudownym skutku maksym budujących, oskarżył przed gminą swego parobka o systematyczną kradzież siana. Kmiotkowie, których skłonność do atawizmu społecznego jest znaną, skazali delikwenta na chłostę. Wykonanie wyroku odłożono na dni kilka, a przez ten czas winny chodził „jak otruty," znosząc wszystkie męczarnie ciężkiego oczekiwania i szyderstwa całej gromady. Taki stan rzeczy wywołał w jego duszy gwałtowną żądzę zemsty na księdzu. Podpaliwszy zabudowania gospodarskie na probostwie, zadzwonił na trwogę, a sam rzucił się w ogień, aby w nim spłonąć. Myśl zemsty nie mogła go jednak natchnąć bohaterstwem męczennika: poparzony, cofnął się z gorejącego budynku i porwawszy jakiś powróz, obwiesił się na pobliskiem drzewie. Zbiegający się do ognia wieśniacy jeszcze raz wyrwali go z objęć śmierci, odcinając pętlę. Młody przestępca znikł natychmiast bez śladu, i nazajutrz znaleziono już tylko jego trupa, broczącego we krwi. Ostatecznem narzędziem śmierci był prosty nożyk, *cyganek*, którym nieszczęśliwy wytoczył sobie wszystką krew, przeciąwszy żyły. Pożądanem byłoby, aby towarzystwa opieki nad zwierzętami postarały się o rozszerzenie swoich atrybucyi...

Niemniej życzyć gorąco należy, aby raz już jakiekolwiek towarzystwo zaopiekowało się skutecznie naszymi samozwańczymi „adwokatami ludu." Walka byłaby dość trudną, gdyż panowie owi działają z wielką przezornością i nad podziw systematycznie. Wiedząc, że ciemnota chłopów jest nieprzebraną dla pokątnego doradztwa skarbnicą, zaczęli oni teraz agitować na niekorzyść otwierania nowych szkółek ludowych... W gminie Rzepów przedstawiciele inteligencyi miejscowej — mówi *Kuryer codzienny* — dwa razy wymogli na włościanach uchwałę założenia szkoły i dwa razy ciż sami włościanie za czyjąś podmową uchylili się od zobowiązania. Charakterystycznym jest powód owej niechęci: „nie chcemy aby dzieci uczyły się,.. kraść."

Ładną musi być tam *najbliższa* inteligencya!

Maryan Bohusz:

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 lutego.

Misya zagraniczna p. Giersa. — Uzbrojenia Austryi i jej nowela szkolna. — Sejm niemiecki i książe Bismark. — Środki przeciw pretendentom we Francyi i proces Bonapartego. — Zachowanie się mocarstw europejskich wobec wniosków Anglii w sprawie egipskiej.

Po usunięciu przez podróż rosyjskiego ministra spraw zagranicznych wielu nieporozumień, jakie się nagromadziły w ostatnich czasach pomiędzy trzema mocarstwami europejskiemi, stosunki wschodnie ułożyły się znów do dłuższego spokoju. O ile wnosić można z danych dotychczasowych, pokojowe dążności zagranicznej misyi ministra rosyjskiego zostały uwieńczone zupełnym skutkiem. Hr. Kalnoky dla uzyskania większej swobody w przeprowadzaniu wschodniej polityki Austryi, poświęca chętnie bierne stanowisko, do jakiego zmuszało ją ciągle przymierze z Niemcami. Zewszad potwierdza się, że w skutek bytności p. Giersa w Wiedniu nastąpiło bardzo przyjazne zbliżenie się Rosyi do Austryi a zarazem do Niemiec, które z takiego obrotu rzeczy zupełnie są zadowolone. Kwestya wschodnia wprawdzie rozwiązana być może ostatecznie tylko przez wojnę, pokój jednak długo się utrzyma, jeśli mocarstwa najbardziej interesowane unikać będą stanowczego i prędkiego rozwijania wschodniej polityki, co obecnie uwydatniło się silnie.

Pomimo to, a raczej dla tego — wedle zasady: gdy chcesz pokoju, gotuj się do wojny — gabinet wiedeński, pod prezydencyą samego cesarza, toczy długie obrady nad projektami militarnych kolei żelaznych węgierskich i galicyjskich, oraz nad reorganizacyą landwery, której cyfra wynosić ma 138,000 ludzi, prócz zasiłków z Tyrolu.

Z pomiędzy wewnętrznych spraw Austryi najważniejszą, a Galicyę blisko obchodzącą jest tak zwana nowela szkolna. Była ona już przedmiotem rozpraw Koła polskiego. Około art. 48, wyciskającego na szkołach cechę wyznaniową, kręciły się główne rozprawy. Przywódcy Koła polskiego, pragnąc uchronić kraj od powodów do staré wyznaniowych, żądali uchylenia tego paragrafu; inni uczestnicy konferencyi domagali się, aby wyjęto Galicyę i Dalmacyę z pod tych przepisów i aby sejmy prowincyonalne miały prawo uchwalania odnośnych ustaw. Wogóle Koło polskie nie chce uświęcać gwałtu popełnianego w noweli szkolnej przez radę państwa na autonomii krajowej.

Czynności sejmu niemieckiego kręcą się w kole spraw finansowych a że biegną zwykłym trybem, więc nawet kanclerz nie uważa za konieczne brać w nich osobiście udziału i rozstrajać swych nerwów wycieczkami mówców opozycyi. Zresztą teraz jest on bardziej niż zwykle cierpiący i pociesza się tem, że „i bez niego machina państwowa idzie... wybornie." Szczęśliwy!

Ogólna uwaga świata politycznego ciągle jeszcze zwrócona jest na Francyę, gdzie stosunki wewnętrzne z powodu agitacyi pretendentów do tronu i środków przeciwko nim przedsiębranych są silnie naprężone i zaniepokojone umysły. Izba deputowanych znaczną większością głosów uchwaliła projekt, upoważniający rząd do wydalania wichrzących książąt rodzin dawniej panujących i zabraniający im zajmowania urzędów cywilnych, wojskowych i wybieralnych. Cała masa republikanów Izby jest za postąpieniem energicznem; nawet przedstawiciele krańcowej lewicy oświadczyli, że w razie nieprzyjęcia radykalnych wniosków Floqueta i Ballue, głosowaliby za wnioskiem kompromisowym, jako najdalej idącym.

Wnioski przyjęte przez Izbę zostały niezwłocznie przedstawione senatowi, który zaraz wybrał komisyę do ich rozpatrzenia. Prezydent Grévy, który objawia teraz niezwykłą energię, dokłada wszelkich usiłowań, aby uchwała Izby została przez senat przyjętą choćby z pewnemi zmianami. Chodzi bowiem bardzo o usunięcie możliwego starcia pomiędzy ciałami prawodawczemi i uspokojenie w kraju umysłów.

Tymczasem śledztwo w sprawie uwięzionego Hieronima Bonapartego zostało ukończone. Oskarżonym jest on o zamach na istniejący rząd rzeczypospolitej. Akta zakomunikowano prokuratorowi generalnemu dla przygotowania odpowiednich wiosków.

Obecny stan rzeczy we Francyi jest bardzo na rękę rządowi angielskiemu, który w Egipcie robi, co mu się podoba. Wedle ostatnich doniesień z Londynu na żądania lorda Granvilla Rosya w zasadzie zgadza się najzupełniej. w Petersburgu czyniono tylko co do szczegółów pewne zastrzeżenia. Rządy austryacki i włoski zapatrują się na ten przedmiot zgodnie. Równie przyjaźnie zachował się rząd niemiecki, najmniej interesowany. Oponować nie ma kto — Francya bowiem zajęta obecnie ważniejszemi sprawami domowemi, a konająca Turcya nie ma sił na obronę swych dawnych zdobyczy.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

W sprawie żydowskiej. Organ izraelskiego stowarzyszenia *Agudes Achim* (Przymierze braci). lwowska *Ojczyzna*, odpierając zarzut, jakoby działalność młodożydowskiej partyi miała na celu jedynie rozbudzenie patryotyzmu śród warstw izraelskich, obojętnych na losy kraju rodzinnego, przy skromnem natomiast uwzględnianiu sprawy powszechnej oświaty ciemnych współwyznawców — zastanawia się nad kwestyą żydowską, rozdzielając ją w obszernym artykule na polityczną i ekonomiczną. Otóż warunki ekonomiczne są, zdaniem *Ojczyzny*, podstawą dzisiejszego ukształtowania się prądów umysłowych w społeczeństwie żydowskiem.

„Prawdziwie racyonalny system działania nad uspołecznieniem mas żydowskich powinien więc rozpocząć od poprawy tych zasadniczych warunków dzisiejszego stanu kwestyi żydowskiej. Wiemy o tem dobrze: tylko że system ten, naturalnym rzeczy porządkiem wskazany, przekracza granice naszego chwilowego wpływu. Droga ustawodawcza jest jedyną, na której przeprowadzonemi być mogą wielkie przemiany ekonomiczne, odpowiednie duchowi czasu i potrzebom społeczeństwa. Póki ministerstwa nasze zajmować się będą tylko badaniem statutów dla gmin wyznaniowych, normowaniem lub raczej projektami unormowania form wychowania publicznego, nie zwracając najmniejszej uwagi na stosunki ekonomiczne, wytwarzające naszą kwestyę żydowską, póki plany reformy Czackich i Butrymowiczów butwieć będą w zapomnieniu, póty zasadniczej przemiany anormalnych stosunków, składających się na dotkliwe poróżnienie społeczne, spodziewać się nie możemy. Praca obywatelska w tym kierunku pozbawiona jest wszelkich prawie punktów oparcia. Wskazówki i zachęty, — oto, na czem na razie poprzestać musimy. Zupełnie podobnie ma się rzecz ze sprawą oświaty powszecnej ciemnych naszych współwyznawców. Ta droga, niestety, jest również dla nas zamknięta: tu działać możemy jedynie zanoszeniem petycyj do władz odnośnych. Sprawą tą zająć się winny przedewszystkiem przełożeństwa zborów izraelickich, płacących podatki na utrzymanie szkół publicznych bezwyznaniowych. Przez oświatę ogólną do obywatelskości, zwie się ta droga, która jednak, nie zapominajmy o tem, wymaga rozłożenia pracy na dziesiątki lat. Tożąć się nam trzeba innej jeszcze pracy, więcej energicznej i zaradczej. Najbliższem zadaniem naszem jest rozrzucenie milionów iskier poznania między masy żydowskie: pracą publicystyczną, odczytami, zrozumiałymi dla tych warstw, popularyzowaniem historyi, nauką języka krajowego i przedmiotów ojczystych, tworzeniem ognisk obywatelskich dla ludności żydowskiej, dążyć winniśmy do jaknajrychlejszego oświecenia współwyznawców naszych."

Kwestya abecadłowa. Niejednokrotnie już tak z polskiej, jak i rusińskiej strony zastanawiano się w Galicyi nad zmianą odwiecznej grafiki rusinów, cyrylicy, na łacińską. Sprawa ta, łatwo na pozór załatwić się dająca, jest bezwątpienia dosyć

skomplikowaną. Pominąwszy już bowiem niechęć żywiołów konserwatywnych, przeciwnych wszelkim inowacyom, choćby te kształtu liter tylko dotyczyły, tudzież nieuzasadnione zresztą zupełnie a nawet śmieszne obawy o naruszenie podstaw narodowości (litery stanowić tu mają rodzaj chińskiego muru od wciskającej się zewsząd polszczyzny) — zachodzą prócz tego inne względy, utrudniające w niemałym stopniu ten drobny wprawdzie, ale ważny krok na drodze ułatwień wzajemnego zbliżenia się, a więc na drodze postępu. Sprawę tę poruszył w ostatnich czasach autor *Polityki nerwów*, stawiając w projekcie ugody z rusinami, jako jeden z warunków, zmianę kalendarza i alfabetu. Gdy jednak reforma juliańskiago kalendarza jest tylko kwestyą czasu, zmiana abecadła nie tak łatwo przyjść zdoła do skutku. Stojące na zawadzie trudności i straty, ze zmiany takiej wyniknąć mogące, rozbiera w *Dzienniku polskim* jakiś rusin, rozjaśniający — o ile gmatwanie przedmiotu nazwać można rozjaśnianiem go — sprawę ruską w piśmie tem już od dłuższego czasu. Zabrał on także głos i w kwestyi abecadłowej.

„Rusini — słowa jego — mają liturgię słowiańską, pisaną cyrylicą, jako też i dosyć znaczną literaturę, pisaną tem pismem. Zostając przy słowiańskim obrządku i nie mogąc zerwać z tradycyą i dotychczasową wiekową literaturą, musieliby, przyjąwszy alfabet łaciński, ze względu, że język polski jest dla nich obowiązkowym, uczyć się i trzymać trojakiego alfabetu i trojakiej pisowni, polskiej, łacińsko-ruskiej i cyrylsko-ruskiej, a tej ostatniej z tej przyczyny, że inaczej ich liturgia i dotychczasowa literatura byłaby im nieprzystępną.“

Galicya w budżecie austryackim. Jak upośledzonym jest kraj ten względnie do rozległości, zaludnienia i wogóle potrzeb, wykazuje cyframi *Nowa Reforma* w szeregu artykułów, roztrząsających pojedynczo działy preliminarza budżetu na rok bieżący. Tak n. p. wydatki na oświatę oznaczono w sumie 13,163,275 złr. Z tej sumy wypada na Galicyę tylko 1,453,141 złr. czyli 11,4%, jakkolwiek ona, zarówno ludnością, jak i obszarem, reprezentuje blisko 30% całej Cislitawii. Szczegółowe cyfry wykażą niesprawiedliwy ten stosunek w jeszcze bardziej rażącem świetle. Poprzestaniemy tu tylko na szkołach wyższych. I tak uniwersytet w Wiedniu kosztuje rocznie (wydatki zwyczajne): 774,100 zł., w Pradze 544,000, w Grojcu styryjskim 272,900, w Krakowie 232,100, w Insbruku 200,000, we Lwowie 142,600, wreszcie w Czerniowcach 99,800. Zatem *oba* uniwersytety galicyjskie nie kosztują nawet *połowę* tego, co uniwersytet wiedeński, a o 169,300 złr. mniej, niż prazski. Od krakowskiego uniwersytetu tylko Insbruk i Czerniowce, a od lwowskiego tylko te ostatnie gorzej są uposażone. Z wyjątkiem czerniowieckiego, którego potrzeba jest zresztą bardzo wątpliwą, wszystkie prócz lwowskiego posiadają po cztery fakultety. Lwów na żaden sposób nie może się doprosić lekarskiego. Co do sił nauczycielskich (bez docentów, adjunktów, asystentów, a zatem samych zwyczajnych i nadzwyczajnych profesorów) posiada Wiedeń 117, Praga 105, Grodziec 58, Insbruk 53. Kraków 51, Lwów 37, Czerniowce 27. Obie więc nasze wszechnice są w tym spisie na szarym końcu pomieszczone. Dzieląc preliminowane wydatki przez cyfrę profesorów, otrzymamy uposażenie jednej katedry, która wynosi w Wiedniu 6,616 złr. i t. d., w Krakowie 4,551 złr., a we Lwowie 3,854 złr.

„Cyfry te — kończy *N. Reforma* — są najlepszą odpowiedzią na zarzuty, jakie nas nieraz spotykają w Wiedniu i z jakimi niedawno wystąpiła najmilsza *Neue Freie Presse*: iż zanadto żądamy, gdy się upominamy, czy to o uzupełnienie lwowskiego uniwersytetu, czy też o jakiekolwiek większe wydatki na nasze uniwersytety.“

Quousque tandem!... Sprawa założenia wydziału lekarskiego w uniwersytecie lwowskim weszła znowu na porządek dzienny w komisyi budżetowej wiedeńskiej Rady państwa. Interpelacyę do ministra oświaty wystosował poseł Hausner, który tyle już razy i w sejmie i w Wiedniu zabierał głos w tym przedmiocie. Zaznaczył on przedewszystkiem tę okoliczność, że rezolucya co do utworzenia lekarskiego wydziału we Lwowie cztery już razy została przez Izbę uchwaloną i czterokrotnie rząd do wykonania jej był wzywanym a mimo to nic jeszcze dotychczas nie przedsięwzięto i budżet śladu nawet jakiegokolwiek przygotowania nie wykazuje a rząd z opieszałości swej nie usprawiedliwia się zgoła.

„Według mego skromnego zdania — mówił p. Hausner — byłoby obowiązkiem rządu po rezolucyi parlamentu, 4 razy już uchwalonej, dać jakieś wyjaśnienie ze swej bezczynności... Lecz wysoki rząd zdaje się mieć inne pojęcie o obowiązkach konstytucyjnych, więc ja biorę inicyatywę...“

Do obszernego wywodu, dowodzącego słuszności żądań posłów galicyjskich, dodał jeszcze interpelant małą, lecz ciekawą notatkę statystyczną, którą sam sporządził, a wykazującą, że gdy jeden słuchacz czerniowieckiego uniwersytetu kosztuje 460 złr. rocznie, a lwowskiego tylko 160— lepiejby było znieść uniwersytet w Czerniowcach zupełnie, a lwowską wszechnicę wydziałem lekarskim uzupełniwszy, dać choćby każdemu czerniowieckiemu słuchaczowi stypendyum w innym uniwersytecie, bo to by zawsze mniej kosztowało, niż utrzymanie osobnego uniwersytetu, który dla tak małej, jak Bukowina, prowincyi zgoła jest niepotrzebnym.

Na interpelacyę tę odpowiedział minister Conrad, że rząd *zbadać jeszcze musi* lepiej przedstawione mu wykazy i *wyczekuje* sprawozdania namiestnictwa lwowskiego... Może kto dożyje przecie tych szczęśliwych czasów, gdy namiestnictwo galicyjskie znajdzie wolną chwilę do zdania rządowi sprawy o tym tak mało dla kraju ważnym przedmiocie...

Rachunek z „OGNISKA.“

Wpłynęło:

Z prenumeraty	rs. 8673 k. 26	złr. 140 c. 9 i fr. 20
Z rozsprzedaży	„ 135 „ 5	
Razem	rs. 8808 k. 31	złr. 140 c. 9 fr. 20

Koszta:

Druk, satynowanie i oprawa	rs. 620 k. 45
Papier	„ 577 „ 80
Rysunek, drzeworyt i odbicie portretu	„ 94
Wysyłka na prowincyę	„ 297 „ 28
Razem	rs. 1589 k. 53

Dochód przeto czysty wynosił rs. 7218 k. 78 złr. 140 c. 9 f. 20

Posłano Jeżowi w 5 ratach „ 4873 „ 45 (frank. 12000)

Pozostaje rs. 2345 k. 33 złr. 140 c. 9 f. 20

którą to sumę jednocześnie jubilatowi wysyłamy

Redakcya „Ogniska.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Koronacya. Ogłoszony w *Praw. Wiestniku* Najwyższy manifest zapowiada koronacyę na maj.

Doktoryzacya. Albert Rozental doktoryzował się w uniwersytecie warszawskim z rozprawy: „W kwestyi zmian anatomicznych kory mózgowej przy niektórych chorobach infekcyjnych.“

— W Petersburgu Platon Żukowskij, nauczyciel prawosławnej szkoły w Połocku, bronił rozprawy magistrowskiej: „Kardynał Hozyusz i kościół polski za jego czasów.“

Obcokrajowi. Z Krakowa i wogóle z Austryi wydaleni zostali, jako obcokrajowcy, dwaj słuchacze medycyny: pp. Jaron i Zawadzki, bez motywów. W przeciągu trzech godzin wydaleni znajdować się już musieli na dworcu kolejowym.

Obojętność czechów. W połowie stycznia odbyły się w Pradze cztery odczyty publiczne w kwestyach nas dotyczących. Edward Jelinek mówił „O stosunkach literackich polskich,“ dr. A. Ruszal „O zasługach Jana Sobieskiego w sprawie ocalenia Wiednia,“ profesor F. Kahlik odczytał ustęp z większej pracy p. t. „Z dziejów cywilizacyi w Polsce w XVIII stuleciu,“ wreszcie p. F. Brożik „Ciekawe szczegóły z podróży po Polsce.“

P. Ernest-Schwab Polabsky przygotowuje do druku tłomaczenie *Uskoków* T. T. Jeża i *Butów Michałka* Krypiakiewicza. Tenże sam autor przełożył w najnowszych czasach komedye Bałuckiego *Po śmierci cioci* i *Gęsi i gąski*. Pierwsza z nich została już wystawiona na scenie czeskiego teatru.

Brak miejsca nie pozwala nam na przytoczenie wszystkich, choćby najświeższych i najważniejszych tłomaczeń z naszego języka i studyów, zajmujących się naszymi stosunkami. I to jednak, cośmy przywiedli, dostatecznem jest na ilustracyę do wiadomych korespondencyj *Czasu* z Pragi.

Zmarli. Włodzimierz Barwiński, redaktor *Diła*, jedna z najwybitniejszych osobistości ruskiego społeczeństwa w Galicyi, w 33 zaledwie roku życia na wycieńczenie sił. Treściwy życiorys i pogląd na działalność jego podamy w jednym z numerów następnych.

— Józef Szujski w Krakowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Zur. Literatura nasza pod tym względem tak uboga w prace wartościowe, że możemy Panu polecić to tylko, co Pan z tej gałęzi znajdzie w katalogu Gebethnera i Wolffa.

P. Halinie Sz. Dzieciom tylko przystoi przecząco rozstrzygać pytanie, czy kobieta *może* spełnić jakiekolwiek z wyższych powołań człowieka. Kobieta *może* dokonać wszystkiego, do czego tylko posiada siły.

Uczniowi gimnazyum. Dodatek bezpłatny otrzymują ci tylko abonenci, którzy przez cały kwartał opłacali *Prawdę*.

P. P. M. na Solcu. Po co Pan domysłem sięgą aż tak daleko i najgorszą gałąź utożsamia z całym szczepem? Dowody zaś „dobrowolnego wyłączania się“ znajdzie Pan nawet w obecnem życiu naszem, w obojętności dla naturalnych pokrewieństw i wzgardzie ku nim. Zaświadczy —większość pism naszych.

Sprostowanie. W nrze 4 *Prawdy* str. 42, kol. 3, w. 15 od dołu zam. 1853 czyt. *1858*; str. 43 kol. 1, w. 40 od góry zam. 59 czyt. *50*; tamże w. 43 zam. uroczystej czyt. *uroczej*; tamże w. 16 od dołu zam. domku czyt. *zamku*; tamże kol. 3 w. 5 od góry zam. uczynić czyt. *oczynić*; str. 44 kol. 1 w. 23 od dołu odsyłacz drugi ma być po wyrazie *Kopenhaga*.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Января 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.